Numer 52. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 27 Grudnia 1931



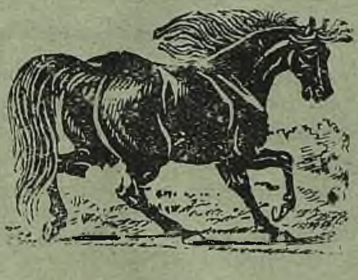
Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

„Zemsta cygana“
sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzycznym.

Oświadczyny masarza.

Pierwszym raz cię widział, gdyś krajała sadło,
Odtąd serce moje, jak pies, w wodę wpadło,
Odtąd też w rozpaczy i strasznej zgryzocie
Tarzam się dniem i nocą, niby prosię w błocie.
Ryczę, jak wół w rzeźni, gdy go na śmierć wiodą,
Wybladłem, jak flaki wypłukane wodą.
A ty ani słuchać chcesz tej mojej mowy,
Pędzisz mnie od siebie odciętemi słowy.
Niby owca tępa, patrzysz na me znoje,
Zlituj się, Anielciu — zlituj, serce moje.
Bij mnie w łeb obuchem, lub dostanę bzika,
Albo kochaj wzajem Kubę kiełbaśnika.



Nietrafny wybór.

— Dlaczego rozwiodłeś się ze swoją żoną?

— Bo omyliłem się w wyborze. Jak ją ujrzałem, zawołałem z radością: „Ta, albo żadna“, a jak ją poznałem po ślubie, krzyknąłem z rozpaczą: „Lepiej żadna, niż ta“.

Porzucił palenie.

— Widzę, że po ożenieniu się porzuciłeś palenie?

— Tak, bo gdy dwoje pali, to za drogo kosztuje.

Powód.

Gość: Pańską zupę czuć naftą!

Właściciel restauracji: Tak, gazu ani elektryczności w naszem mieście jeszcze niema!

Sprytny.

Do składu obuwia wchodzi jakiś jegomość w nieobecności właściciela i żąda pary lakierków. Pomocnik pokazuje mu parę, która kosztuje 30 zł. Ponieważ nieznajomy ma jednak tylko 25 zł. przy sobie, pozwala mu zabrać lakierki pod warunkiem, że 5 zł. przyniesie później. Gdy majster robi mu wymówki, że odbiorca już nie wróci, odpowiada pomocnik: „Niech się pan nie obawia! Dałem mu oba lakierki z prawej nogi, więc wróci napewno!“

Wyjaśnił.

Pani (do żebraka): Co to? Wczoraj byliście ślepym, a dziś jesteście niemową?

Żebrak: Gdyby pani dobrodziejka nagle odzyskała wzrok, to z pewnością teżby mowę utraciła!

Racja.

Mąż: Dość już tego! Raz muszę się dowiedzieć, kto jest właściwie panem domu!

Żona: Czy sądzisz, mężusiu, że będziesz szczęśliwy, gdy się tego dowiesz?

Numer 52. Rok XIV. Kraków, dnia 27 Grudnia 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. – Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

GDY GWIAZDA JEZUSA ZABŁYŚNIE...

Gdy tylko gwiazda betlejemska zabłyśnie na bladem niebie wieczornem, gdy słowa kolędy obwieszczą, że »Bóg się rodzi, moc truchleje«, zapalają się ognie po chatach, domach i pałacach, a złe moce pierzchają gdzieś z serc i umysłów naszych. Odradza się wtedy w każdym z nas dziecięca dusza i wiara, odnajdujemy drogę do praźródła Świętej Dzieciny, Boga-człowieka, co w pokorze zstępuje z swej Wszechmocy na ziemię, wywyższa ją i ludzkie plemię, które ma odtąd Boga za najlepszego opiekuna, ma samą pra-miłość!

Zstąpiła bowiem na ziemię Miłość wcielona, zabłysła światłość w otchłani i rozjaśniła mroki, ukazując cel wszemu stworzeniu. Niebo wyiskrzyło się gwiazdami, a księżyc wzbił się wysoko i olśniewał ziemię kaskadami światła tak, że w jego blaskach zdawała się być jakby ulaną kulą z kryształu srebrzystego. Nastała noc wielkiej Tajemnicy, w której Majestat, Król wszechświata porzucił nieba błękity, porzucił Aniołów, Archaniołów, Cherubinów, Serafinów. Księstwa i Trony, zstępując w blaskach na ten padół płaczu, do ubogiej szopy wieśniaczej. A słowo stało się ciałem... Idzie wieść radosna po ziemi polskiej i łuna światła bije z rozpromienionych miłością niebiosów, wnikając do serc ludzkich jako symbol związku doczesności z wiecznością! Ale człowiek współczesny, przeżarty trudnościami bytowania, jadem nienawiści, łez, goryczy, bolu i cierpienia, daleko odbiegł od świetlanej i cichej stajenki betlejemskiej, w której zrodziło się Dziecię-miłość...



Nie łatwo trafić mu do tego przybytku, w którym do chórów anielskich, wieszczących pokój ludziom dobrej woli, dołączyły się pieśni ubogich pasterzy, jakoteż i królewski hołd mędrców ze Wschodu.

Zaiste — straciliśmy związek z Chrystusem! Dla wielu z nas jest On niejako rodzajem mitu. Nie umiemy już czy też nie chcemy odczuć głębokiej prawdy, bo zerwały się i potargały złote nici wśród burz i nawalnic życia naszego. I w tem zobojętnieniu i znieczuleniu wewnętrznem kryje się tragedja współczesnej ludzkości i duchowe ubóstwo... nicość moralna! Ach, jakże podły jest świat obecny! Zgnilizna cuchnie... kultura dziejowa niszczeje, cywilizacja poprzedniego wieku upada. Rozpanoszyło się chamstwo ducha. Ale na szczęście dla współczesnej ludzkości nie przestały bić czyste źródła odrodzenia i nie brak nam godziny cudu, gdzie możemy znowu zanurzyć się w ów wszechpotężny nurt, płynący ze stajenki betlejemskiej od Boskiej Dzieciny. Z jasności, bijącej od Jezusa, podnoszącego swe rączęta nad świa-

tem, wnika w nasze serca ogień miłości, wnika głęboka wiara, że w Nim tylko jest prawda, piękno i dobro żywota, których moce piekielne nie przemogą... Nie, nigdy! Idąc za Jezusem, znajdziemy właściwą drogę w naszej ścieżynie życia, znajdziemy drogowskaz świetlanej przyszłości i szczęście wiekuiste...

Gdy gwiazda Jezusa zabłyśnie, jarzą się choinki od płonących świec, wyczarowując w duszyczkach dziecięcych cudowne wizje rajskich ogrodów, a u starszych budząc wspomnienia dalekie... które już nigdy nie wrócą. Tak, nie wrócą lata wiosennej młodości! W chacie polskiej brzmi rozmowa taka miła, taka szczera, co niby potok złotych myśli płynie z głębiny serca, bo Gwiazda pokoju i nowego życia wzeszła nad stajenką betlejemską i objawiła się maluczkim i biednym pastuszkom, niosąc im pociechę i prawdziwe człowieczeństwo. A hen, gdzieś w dali słychać przecudne chóry anielskie: Pokój ludziom dobrej woli! Pokój tym wszystkim, co dyszą zemstą i nienawiścią, pokój, bo sam Bóg się rodzi i odrodzenie światu przynosi... Niechaj więc umilkną wszystkie waśnie, kłótnie i urazy, niech znikną rozterki i nieufności, bo ten wieczór wigilijny jest również świętem zgody i pojednania. Odtąd powinniśmy dążyć śladami pastuszków i trzech mędrców za jasną gwiazdą Jezusa, co błyszczy nietylko nad Betlejem, ale i w sercach miljonów dusz polskich.

Cóż to — już północ i pieje kur? Wizja chwili przed nami... Zdala widać kościoły ogniste, gdzie płoną światła, niby znicze wieczyste na ołtarzach serc ludzkich rozrzucone, gdzie hymny grają przecudne odgłosem wspaniałych organów i pieśnią radosnych kolęd „Christus, Christus natus est nobis" — lub „W żłobie leży, któż pobieży kolędować Małemu" — albo „Pójdźmy wszyscy do stajenki, do Jezusa i Panienki!". — Tak jest, pójdźmy wszyscy do stajenki złożyć podziękę Jezusowi za dwukrotny cud, że po krwawej łunie wojny światowej mamy znowu Ojczyznę naszą wolną, niepodległą i zjednoczoną, że zawitała do nas nowa era, nastał czas pokoju i już trzynaście lat jesteśmy gospodarzami swego domu. Marzenia i tęsknota minionych czasów stały się rzeczywistością. Tęsknota budzi myśl i słowo, a wreszcie i czyn, budzi miłość Ojczyzny i jest tą spójnią, która łączy dni klęski i niemocy z dniami rozśpiewanej radości... Tęsknota jest czynnikiem budującym, przyczyniając się dzielnie do zrealizowania potrzebnego nam dzisiaj i zawsze przykazania narodowego: „Ramię krzep — Ojczyźnie służ!" I dzisiaj w tę cudowną noc Tajemnicy niechaj ta gwiazda Jezusa, co ongiś zabłysła nad stajenką betlejemską, prowadzi nas, ludzi dobrej woli do upragnionego celu, do wykończenia i utrwalenia potężnego państwa naszego, do chwały Ojczyzny naszej!

O Jezu nowonarodzony! Wyciągnij Swą rączkę i pobłogosław Ojczyznę naszą! Dałeś nam tyle bogactw — daj nam dzisiaj miłość, zgodę i pojednanie wieczyste! A my wpatrzeni w przecudne światło gwiazdy betlejemskiej i czarowną Dziecinę Boską, chodźmy wszyscy razem, sprzągnięci łańcuchem jednolitej idei, wykuć przyszłe Gody szczęścia, radości i wesela... Chodźmy wszyscy społem...

„...bo już widma poszły spać...
Nikt nie gada dziś z chochołem
Sami sobie będziem grać..."

Franciszek J. Tryszczyła.



Nad Betleem!

Nad Betleem gwiazda płonie,
W cichej szopie Jezus leży,
Na Matuchny swojej łonie
Bez wygody i odzieży.

Ziąb w stajence lichej bierze...
Bez okrycia i pościeli,
Choć tchem serc swych Go pasterze
Ogrzewają i Anieli.

Sam zziębnięty zstąpił z nieba.
By Adama ogrzać syny:
Pod postacią dać im chleba
Ciało swoje... skarb jedyny.

Antoni St. Bassara.



Hej kolenda.

Od ośmiu lat „Rolę" kochaną czytuję,
I co roku lepiej to pismo miłuję,
Wierność mu ślubuję — wytrwać obiecuję.
Hej kolenda, kolenda.
Rozbrzmiały radosne kolendy w kościele,
Kolendową nutę śpiewa rodzin wiele,
I ja kolenduje — i wszystkim winszuję:
Hej kolenda, kolenda.
Kolenduję najpierw naszej Redakcji,
Za to, że co tydzień tyle atrakcyj
Ciekawych udziela — uczy, rozwesela.
Hej kolenda, kolenda.
Nasz zacny Redaktor niech się dobrze czuje,
Jeszcze w długie lata „Rolę" redaguje,
Niech się mu uśmiecha — radość i uciecha.
Hej kolenda, kolenda.
I Maćkowi Bzdurze, Kaśce Myrdalonce,
Dysputować uczyć niech się nie odniechce,
Niech się cieszą nami — my ich dysputami.
Hej kolenda, kolenda.
A przy końcu życzę Czytelnikom „Roli",
Niech Boże Dzieciątko da im łask do woli,
Niech Was cieszy, darzy — i młodzi i starzy.
Hej kolenda, kolenda.

Józef Serafin.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa".

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

— Mowa wasza rozumna, a rada jedyna! W tem tylko rzecz, kogoby wysłać należało? Chybaby was Stanko! — rzekł Dowmunt.

— Radbym ja z serca tam iść, bo i sprawę tam mam niecierpiącą zwłoki...

— Jaką sprawę — pytano ciekawie.

Jeden tylko Bolko milczał, gdyż ze słów Zbiluta domyślał się czegoś.

— Nie przystoi wprawdzie spraw domowych na radzie poruszać, a nigdy nie słychano, aby ktoś dzielnym mężom o mdłych białogłowach prawił. Zważcie jednak, w jak niezwykłym jestem położeniu. Oto małżonka moja Ludomira ma za wolą dziadka pojąć w noc kupalną małżonka, a noc kupalna tuż. Trzebaby mi być tam koniecznie. Nie łżę jednak, bo dziad domyśliłby się wszystkiego i krwi swejby nie oszczędzał, bo taki on. Tam pomoże tylko Zbilut. Gdy on powróci, nie zdziwi nikogo, nikt go o nic nie zapyta. Niechętnych może bezpiecznie doprowadzić na znaną nam obu polanę, gdzie i my czekać będziemy. Resztę uradzimy na miejscu.

— To byłoby niezłe... ale czy młokos uradzi? Toż to i życie trza postawić! Odkryją — zguba jemu, a może i nam! — wahał się Dowmunt.

— Uradzi — rzekł gorąco Bolek, któremu Zbilut mocno przypadł do serca. — Uradzi, bo dzielny jest, sprytny i ojców miłujący! Zacnego syna dał wam Bóg, Stanku!

Tu opowiedział obecnym ranne wypadki.

— Poznałem ja dobrze jego uczciwość. Dlategom odszedł spokojny o los obojga, by lepszej doli poszukać. Wiedziałem, że macierz przy nim bezpieczna, ino o dziadzie przepomniałem. Posłać mi go ciężko, aż dziw! Ale w Panu nadzieję pokładam! Przyprowadził go tutaj, to i dalej bezpiecznie powiedzie!

— Tak będzie — rzekł poważnie kapłan.

— Ano więc tak: równo ze wschodem słońca wyruszy Zbilut, a my pociągniemy za nim koło południa. O zmierzchu przekradniemy się w bezpieczne miejsce i będziemy czekali, co Bóg da! — zawyrokował Dowmunt.

IV.

Szary mrok panował jeszcze w puszczy, gdy Zbilut ruszył w drogę. Kapłan żegnał go Krzyżem św., a Bolko i Stańko odprowadzili go w głąb puszczy, udzielając mu zbawiennych rad.

Chłopak jechał odważnie, na samem jednak dnie serca czaił się lęk przed starą. Niezwykłym sprytem i znajomością natury ludzkiej, potrafiła Jarucha wszczepić wszystkim przekonanie o swej nadludzkiej władzy. Ona to pośredniczyła między ludem a bogami, którzy przez jej usta odpowiadali na prośby, przepowiadali urodzaje lub klęski, choroby lub powrót do zdrowia. Wróżby jej i przepowiednie trafne były, bo oparte na wieloletniem doświadczeniu i tradycji. Pędząc życie samotne, w wiecznem zbrataniu z naturą, umiała uchylić niejeden rąbek zakrywający jej tajemnice, resztę zaś odczuła i zrozumiała. Z obfitości pewnych jej tylko znanych kwiatów, z ziół, mchów, obfitości zwierzyny oraz z lotu ptaków umiała trafnie przewidzieć przyszłą zimę i lato, deszcze i pogodę, urodzaje i klęski. Choroby uporczywe, złe gorączki, ustępowały przed potęgą jej wywarów, sporządzanych tajemniczo, a podawanych ceremonjalnie. To wszystko dawało jej siłę, którą jedni podziwiali, drudzy zazdrościli, ale której bali się wszyscy.

Wiadomo bowiem było, że i mściwą być umiała. Ktokolwiek ośmielił się żartować z niej, lub okazał jej niechęć, ten albo ginął śmiercią nagłą, niewytłumaczoną, albo zapadał w straszną jakąś niemoc, która latami przykuwała go do łoża. Wszystko to tkwiło nader wyraźnie w duszy chłopca, wzniecając wyobraźnię, skłonną do wiary w rzeczy nadprzyrodzone.

Im bliżej celu, tem bardziej wzrastał wewnętrzny niepokój, który wkońcu stał się nieznośny, wprost nie do wytrzymania. Kroplisty pot pokrywał czoło chłopaka, gdy znalazł się na Stańkowej polanie. Nic się tu nie zmieniło, tylko dwie gałązki skrzyżowane na wierzchołku kopczyka kamieni, pokrywały dwie inne, tworząc gwiazdę..

— Była! więc wszystko w porządku! — mruknął i cały zewnętrzny niepokój znikł gdzieś bez śladu. Uwiązawszy konia, udał się dalej. W jakiś czas później znalazł się na owej rozległej polanie, opisanej na początku powieści. Kilkunastu mniejszych i większych wyrostków układało ze śmiechem i śpiewami stosy gałęzi, smolaków, sypiąc na nie igliwo, jałowiec i szyszki.

— Hej Sobótki, Sobótki! — pokrzykiwano wesoło.

— Bywaj Zbilut! Gdzieś to bywał od wczorą? — wołali, otaczając przybysza.

— Zakładałem sidła w nizinach — rzekł obojętnie, wskazując tę stronę, z której przyjechał. — Pilnowałem całą noc, ale nic nie przyszło.

— Stary zły, pytał o ciebie! Lepiej nie nasuwaj mu się na oczy i ostań z nami — wołał wysoki, smukły Leszek.

— Do matki muszę — potem wrócę.

— Tam cię znów wyglądają! Od rana swachy stroją macierz twoją, na dzisiejsze gody! Stary Leliwa chodzi jak kur, a puszy się, jakby kij połknął! Od ranka koło dworzyszcza węszy, a mruczy, a parska, niby kocisko! Macierz twoja popłakuje, a swachy śpiewają i zawodzą, że o milę słychać! Tylko kołaczy nie pieką, bo sie im żarna popsowały! — drwił Zimek Korabiów, wesołek całej osady.

— Jakto? Już dziś!! — dziwił się Zbitut.

— Ano dziś! Dziad zwołał radę i pośpiech nakazał. Podobno książęcy się pokazali. Trzeba im więc miejsce dać, a samym w knieje, niby zwierz dziki uchodzić! — sarkał Leszek.

— Widziałem wczora tych książęcych — chwalił się jeden z młodszych. — Ludzie, jaki i my!

— A ty coś myślał, że wilkołaki?! — śmiał się Zimek.

— Ale gdzieś ty ich spatrzał! Chyba przez matczyną zapaskę! — dodał.

— Jam nawet obóz ich widział zbliska — rzekł Zbilut.

— No i co? No i co? — otoczono go ciekawie.

— Ano coby! Nie głodują, jak my! Mięso pieczone jedli, chlebem zagryzając. Miodu stągwie stały obok, a szaty mieli czyste i całe. A oręż ich, aż oczy bolały patrzeć! Takiegom jeszcze nie widział! Miecze większe i mniejsze, tarcze, topory żelazne i jakieś dziwaczne narzędzia świecące, które nie wiem, do czego służą.

Cisza zaległa polanę. Słowa Zbiluta trafiły w najczulszą strunę: Oręż i żelazo. Nie chleba zazdrościli ci nędzarze głodni i obdarci. Wiedzieli ze słów niekiedy przez starszych rzucanych nieopatrznie, że tam gdzieś na zachodzie żyją ludy, które nie używają już kamiennych nietrwałych narzędzi, lecz posługują się tym drogocennym kruszcem, zwanym żelazo. Jeden nóż taki, a raczej mieczyk, widział Zbilut u dziada, przechowany jak świętość. Widzieli go też i inni. Mało jednak było takich, którzyby dotknęli chłodnego ostrza. Dziad zaś odnosił się do żelaza z dziwną, tępą nienawiścią, nazywając je „niemieckim wymysłem". Było więc żelazo legendą prawie dla tych parjasów! Było czemś niedostępnem, o czem śnili wciąż, beznadziejni. I teraz milczeli, wzdychając ciężko, gdyż pieczęć despotyzmu i nieufności zamykały im usta.

— Wiesz Zbilut, gdybym ja ich widział tak blisko, jużbym tu nie wrócił — szepnął mu w samo ucho Leszek.

— Toś chyba tchórz i samolub — odszepnął Zbilut.

Zwarli się oczami. Jakaś iskra zapaliła się w oczach Leszka i zgasła siłą woli stłumiona.

— Więc tak? — szepnął.

Zbilut skinął głową.

— Kiedy? — padło, jak tchnienie.

— Dziś wieczorem — i rozeszli się obaj w przeciwne strony.

Robota zaczęła iść leniwo. Pieśń uleciała, a w serca wkradły się: niechęć i bunt. Leszek szedł od gromady do gromady, tam rzucił słowo, z tym poszeptał na uboczu, a zaczepieni popadali w głębokie zamyślenie.

Zbilut zdążał tymczasem ku Triglowskiemu wzgórzowi. Kołując okrążał zdala dworzyszcze, chcąc wsunąć się niepostrzeżenie do kobiecej części domu. Ucieszył się też wielce, ujrzawszy Sławę, która biegła gdzieś żywo, nie widząc go.

— Gdzie macierz? — pytał.

— A to ty! — podniosła nań zaczerwienione oczy. — Dobrze, że jesteś! Macierz w izbie ze swachami. Płacze nieboga, aż ciężko patrzeć!

— Przywołaj ją Sławo! — prosił. — Chcę jej coś ważnego powiedzieć.

— Dobrze — i pobiegła w stronę domu.

Zbilut, chcąc wyjrzeć na dziedziniec, obszedł sporą przybudówkę, krytą częścią słomą, a częścią gałęziami jedliny, które dla większej mocy przyłożono kamieniami. Dach miejscami załamał się, ukazując nagie żebra, gdzieniegdzie zieleniał mchem, a nawet chwiały się na nim żółte kwiaty i puszyste kule mniszka (mleczu). Zbilut zajrzał do otworu, prowadzącego do wnętrza. Buchnął nań parny zaduch oddechów końskich i bydlęcych, pomięszanych z wyziewami skór, wonią potu i wydzielin zwierzęcych. W stajni, przedzielonej na dwie połowy, stały bliżej otworu konie, głębiej krowy. Z nad pustego żłobu odwrócił się ku Zbilutowi smukły łeb i powitało go ciche rżenie. Chłopak pogłaskał go pieszczotliwie i przytulił się do ciepłego pyska, a mokre wargi bułanka, zaczęły chwytać pieszczotliwie jego palce.

Z drugiej pogrążonej w zupełnej ciemności połowie dochodziło pracowite mlaskanie, chrzęszczała miażdżona w zębach trawa, rozlegał się tupot nóg, przestępujących z ukontentowania dosytu. Zbilut cofnął się i wyjrzał zza węgła na obszerny dziedziniec. Wiało tu pustką, a co krok widać było ślady zniszczenia. Przed nawpół rozwaloną szopą stało kilka ciężkich, napół naładowanych wozów, o kołach grubych, nieforemnych; inne rozebrane, czekały naprawy, a nad wszystkiem panowała bieda.

— Zbilut — zawołał głos jakiś i z ogromnej sieni domostwa wysunęła się szczupła postać niewieścia, o twarzy pięknej jeszcze, lecz pobladłej, z śladami łez w zaczerwienionych oczach. Mimo młodego jeszcze wieku, siwe pasma przewijały się między ciemnemi splotami włosów. Chłopak podbiegł, witając.

— Przygotowałeś? — szepnęła gorączkowo.

Zbilut pociągnął ją w otwór stajni.

— Nie, bo wam nie potrza! Ociec żyw! Dziś go ujrzycie, na Stańkowej polanie! Z książęcemi przybył! — opowiadał urywanie.

Ogromna radość rozlała się na twarzy Ludomiry. Posiadała jednak tyle hartu, zdobytego w tej szkole niewolniczej uległości i ukrywania swych uczuć, że usta jej nie wydały żadnego okrzyku.

— Widziałeś go? — szepnęła.

— Odeń wracam! — skinął głową.

Ludomira objęła głowę chłopaka wyschłemi palcami i gorący pocałunek złożyła na jego czole. W tej chwili jednak wyprostowała się obojętnie, gdyż do uszu jej doszedł szmer jakichś kroków.

— Dziad cię wzywał! Chodź więc do niego! Jutro ruszamy! — rzekła głośno, odchodząc.

Chłopak, lubo z niechęcią, ruszył za nią.

Tymczasem zza drzew wysunęła się zgarbiona postać Jaruchy. Szła ociężale, wlokąc za sobą starcze nogi i przystając co kilka kroków dla odpoczynku. Ciężka troska i niejasne przeczucie jakiegoś ciosu, przytłoczyło ją dziś niebywale! Kupała! oj, bywałoż to inaczej! Radość panowała w całej osadzie! A śmiechy, a prześpiewki! Słońce lało strumienie ognia na rozśmiane twarze, na ukwiecone głowy, na stosami zieleni ustrojone, pstremi płaskorzeźbami pokryte ściany gontyny! A dziś? wszędzie smutek, łzy, miny chmurne, złe błyski ócz z pod nachmurzonych brwi, nawet słońce blado prześwieca zza ciemnych zwałów chmur, grożących ulewą.

Smutne rozmyślania starej przerwało ciche „psst", dobiegające z boku. W otworze stajennym stał chłop barczysty, niemłody już, ale czerstwy i silny. Ttrzymając na ustach palec na znak milczenia, przyzywał starą gwałtownym ruchem drugiej ręki.

— Cóż tam? Co powiecie Leliwo?

— Zdarz Bóg! Wiecie? Stańko wrócił?

— Co zaś? opętało was co? Co mówicie?

— Co słyszycie! Zbilut z książęcymi i z Ludomirą w zmowie: Naradzali się tutaj przed chwilą! Podsłuchałem!

— No i...?

Reszty nie mogłem zrozumieć. Tyle tylko, że spotkają się na odwieczerz!

— Gdzie Zbilut?

— U starego.

Odeszła.

Nie weszła jednak do izby. Usiadła na przyzbie — musiała zebrać myśli i zastanowić się nad nowym ciosem. Gdzieś w najgłębszej komórce mózgu czuła, że już koniec walki. Nigdyby jednak nie przyznała się do porażki! Do ostatka stałaby twardo przy swojem! Teraz zaś Stańko, Zbilut, wszystkie nadzieje starego Skryby, i ten wiatr co powiał w tej chwili, to jedno! Żeby zaś ten wiatr mógł zmienić się w huragan i zmieść wszystko po drodze, nie powstało w jej myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W STAJENCE BETLEEMSKIEJ.



Żadnych świąt nie otacza taka bujna fantazja, jak święta Bożego Narodzenia. Fantazja nazmyślała tu tyle różnych rzeczy, których nigdy nie było i być nie mogło, a wieki fantazję tę uświęciły i niejako zaaprobowały. Oczywiście największe pole do popisu miała pod tym względem poezja i malarstwo.

Oto było faktem, że Pan Jezus narodził się w grudniu w Betleem, które leży, jak wiadomo, w Palestynie. Wiadomo też, że w Palestynie, jako w kraju ciepłym, niema nigdy nietylko zimy, ale i mrozu. Ale ponieważ u nas w tym czasie bywają najsilniejsze mrozy, więc też nasza poetycka fantazja wymyśliła sobie, że Pan Jezus, leżąc w żłóbku na sianku, trząsł się od wielkiego zimna, a wół i osioł parą Go swą ogrzewali. Ale równocześnie ta fantazja zapomniała o tem, że w czasie owym pasterze paśli owieczki na polu, a więc że nie musiało być znów takiego mrozu, aby aż para buchała z pysków osła i wołu. Twórcy naszych kolend nie zastanawiali się nad tem, więc też w kolendach tych jest taka moc nieścisłości.

I my, choć wiemy o tem, nie zastanawiamy się nad nielogicznością słów kolend, ale owszem, gdyby ktoś napisał kolendę, że Pan Jezus leżał w żłóbku na sianku w szopie, w której było powietrze gorące i duszno, to taka kolenda raziłaby nas i wydawałaby się nam nieprawdopodobna. Wobec tego wolimy już ten mróz trzaskący w ciepłym kraju i trzęsącego się z zimna Pana Jezusa, aniżeli prawdę, mniej przejmującą i rozczulającą serca.

Tak samo i w malarstwie fantazja stworzyła tyle rzeczy, których w rzeczywistości nigdy nie było. Patrząc na takie obrazy, podziwiamy je, nie zastanawiając się nad ich bezsensem. Oto widziałem np. taki obrazek: W stajence na sianku spoczywa Boża Dziecina, obok Niej siedzi Najświętsza Marja Panna w lekkiej, powłóczystej szacie, dach szopki śniegiem pokryty, a z jego okapu zwisają sople lodowe. Poza szopką zieleni się bujna trawa, kwitną kwiaty i zielenią pokryte stoją drzewa. Stada owieczek zajadają smaczną trawkę, ale nie przeszkadza to nic, że pasterze, pilnujący ich, poubierani są w kożuchy, jakby na świecie był kilkunastostopniowy mróz. Zbieg nielogiczności, ale my tego niemal nie widzimy, gdyż obrazek ów przemawia do serc naszych, a nie do rozumu.

Widz, patrząc na taki obrazek, nie ma czasu na głębsze zastanawianie się, on poprostu nie myśli, ale sercem współczuje zziębniętemu Panu Jezusowi i lituje się nad Nim, a gdyby tak mógł, ogrzałby Go ciepłem własnem.

Wytworem takiej fantazji malarskiej jest i powyżej zamieszczony obrazek. Niema na nim owej tradycyjnej szopki; Najświętsza Marja Panna spoczywa na jakiemś zwykłem posłaniu, tuląc do Swego łona Pana Jezusa, anioł zaś przytrzymuje nad Jej głową jasną aureolę. U wejścia tłoczą się pastuszkowie razem ze swemi owieczkami, ale inny anioł nakazuje im spokój, aby nie budzili Świętego Dzieciątka. Do snu Maleńkiemu przygrywa w górze anielska kapela, unosząca się swoją mocą nadziemską w powietrzu. Piękne to i przemawiające do serc naszych, choć nieprawdziwe.

A takich nieścisłości w naszej polskiej poezji i malarstwie jest całe mnóstwo. Niema prawie kolendy polskiej, w którejby nie było jakichś sprzeczności, a mimo to, a może właśnie dlatego, są one nam tak miłe, są one dla nas tak jakoś swojskie i gdyby ktoś chciał i mógł usunąć z nich to wszystko, co jest w nich nielogiczne, byłyby one dla nas zupełnie obce i dopiero wówczas wydawałyby się nam nieprawdziwe.



Trzysta sześćdziesiąt styry dni ceka bidne cłowiecysko na ten święty pośnik i jesce nie wie dokumentnie, jak tam będzie. Wielkiej rozkosy nie będzie, to wiadomo, bo co mi to za święta, w których cłek nie zuźry ani świńskiego ciała, ani kurzego owocu. Na Wielganoc to se mozna uściwie zywot poprawić, ale na Panajezusowe Narodzenie, to se go jesce popsuć mozna. Jedzenia coprawda będzie moc, ale jakie mi to tam jedzenie! Kapucha, baszc z grzybami, groch i osiemnaście gatunków kas rozmaitych. Jak się tego wszyćkiego po baniacku do brzusyska wepcha, to będzie tam ino chwilowa radość, a strapienie moze się i za Nowy Rok przeciągnie. I byłoby jesce gorzej, gdyby nie pobozność mojej gospodyni. Ta ich pobozność sprawia, ze do pośniku nie dadzą ani krztynki masła, ino robią wszyćko na oleju. Powiadałem jem, co jegomość nie zakazują jeść masconego na pośnik, ale pedzieli mi, ze jegomość na jedzeniu się nie rozumią. Oni nie wiedzą, co chłopski zołądek moze wytrzymać. A przecie wiadomo kazdemu rozsądnemu człowiekowi, ze nawet wypróbowany i doświadcony zołądek nie zniósłby tego wszyćkiego, co się przy pośniku do niego wepcha, gdyby się nie podsmarowało tego dobrze olejem. Powiada bowiem i słuśnie polskie przysłowie, ze jak się dobrze podsmaruje to i dobrze pojedzie. Smarują tez dobrze gospodyni wszyćkie kapuchy olejem i latego tez nie cekają one nawet Nowego Roku, ale jesce tego samego dnia ućciwie jadą. I latego tak jest, ze jesce się pastyrka nie skońcy, a cłek juz jest głodny i dni do drugiego pośniku rachuje!

Ze się juz święty jadwient końcy, raduje się z tego ogromnie Kaśka Myrdalonka. Powiada, ze po godach zacyna się zaraz karnawał i ze kuzdej dzieusse będzie się w niem mozna juz wydawać. Kaśka se obiecuje, ze i ona w karnawale choć trzy razy na tydzień będzie się mogła wydać. I juz teraz upatruje se, którzyby z chopaków byli najlepsi. Józek od Franaska widzi się jej najlepsy, bo nie lubi duzo gadać, to jej nie będzie przeskadzał w gadaniu. Wojtek od Cebuli jesce lepsiejsy, bo ten ma wam takie ogniste ślipia, ze jak na dzieuchę popatrzy, to o mało się na niej spodnica nie zapali. Przy takiem toby było i zimą i latem ciepło, a nima przecie przyjemniejsej rzecy nad ciepło. A Kaśka okrutecnie ciepło lubi i powiada, ze bez to to jej nawet i w piekle będzie dobrze.

Jesce lepsiejsy od Wojtka zdaje się jej Bartek Kiełbasik. Coprawda, to on tam urodny bardzo nie jest, ale ma urodne styry morgi pola i jesce urodniejsą jałówkę, którą mu matusia obiecali dać po śmierci. Nie powiedzieli wprawdzie, po cyjej śmierci, ale chyba nie po swojej, ino po jego, bo matusia Bartkowa baba jak rzepa, a Wojtek zdechlak, ze drugiego w całej Koronie polskiej takiego niema. Zdawałoby się, ze la przysłej baby Bartkowej nie byłaby z tego wielka pociecha, ale przecie tak nie jest. Bo jak obiecają dać jałówkę po jego śmierci, to dać ją musą, a Bartkowa baba po jego śmierci sama będzie miała z niej pozytek, a nie będzie się potrzebowała z Bartkiem dzielić.

Jak widać z tego, to Kaśka nie taka głupia, jak się wydaje. Wiadoma rzec, ze zeniacka byłaby galantna, gdyby tak cłek wiedział, ze kuzda jego urzecona prędko kopyrtnie. Gdyby to wiedział, to na wiosnę ozeniłby się naprzykład z Maryśką. Wziąłby se cłek za nią jaką chałupinę, choć parę kurcąt. Jakby Maryśka kopyrtnęła, to latem ozeniłby się z Jagatom. Za nią juzby dostał parę morgów i jakiego ogona. A gdyby ta znowu kopyrtnęła, to jesienią mógłby się cłek zabrać juz do gospodarskiej córki, za którą oprócz morgów mógłby dostać i jakie takie skapięta, i narzędzia gospodarskie i kawałek wozu. A gdyby ta znowu kopyrtła, to pod zimę przy cwartej ozeniacce juzby cłek ani na gront, ani na ogony nie patrzył, na złociaki skrzywiłby się ze wzgardą, a jeno dolarki, prawdziwe dolarki amerykańskie miałby w prawdziwem powazaniu.

Za parę lat takich scęśliwych ozenień mógłby przyjść do takiego rozumu i powazania w gminie, zeby go nie ino wójtem, ale i posłem do Warsiawy obrali. Powiadam wam, jakieby to było ułatwienie w życiu ludzkiem, gdyby tak kazda dzieucha miała napisane na cole, za ile miesięcy kopyrtnie. Ale tak, jak jest, to wcale nie jest, bo kiedy się zenis, to nie wies, które pierse z brzega i które po kiem będzie się ciesyło.

Jak to cygan umie się wyłgać.

(Żarcik.)

W pewnej wsi nad rzeką rozłożyli się cyganie obozem. Codziennie łowili sobie ryby, a choć to było wzbronione, nic sobie z tego nie robili. Ryby sprzedawali we wsi, komu mogli, lub zanosili także często na probostwo.

Pewnego razu proboszcz przejeżdżał drogą. A że był duży wiatr, zabrał mu kapelusz z głowy, który wpadł do rzeki. Cygan, widząc kapelusz w rzece, wskoczył do wody i chwycił go i oddał proboszczowi.

Proboszcz ucieszył się pięknym czynem cygana. Podziękował mu staropolskiem „Bóg zapłać". Na to cygan mówi, że nietylko tyle mu się należy, ale pięć złotych za zmoczone ubranie. Proboszcz się wymawia, że ten stary kapelusz nie jest wart wcale pięciu złotych, a potem jedno „Bóg zapłać" jest więcej warte.

Cygan niezadowolony poszedł sobie.

Za pewien czas zmarło cyganowi dziecko. Cygan poszedł do proboszcza i zamówił piękny pogrzeb. Ceremonja pogrzebowa odbyła się okazale. Potem cygan idzie do proboszcza i zapytuje, ile jest winien.

Proboszcz, chcąc się odwdzięczyć cyganowi za znalezienie kapelusza, tak mu mówi:

— Dlatego, żeś uczciwy, to też ci niedużo policzę. Ale 15 złotych to nie będzie dużo. Tyle możesz dać.

Cygan stoi z kapeluszem w ręce i jak się nie zacznie kłaniać, mówiąc: „Bóg zapłać, Bóg zapłać!" Proboszcz zdziwiony zapytuje się, co on robi? A cygan na to:

— Księże proboszczu, jak ja znalazłem kapelusz, to ksiądz mówi, że jedno „Bóg zapłać" jest więcej warte, niż pięć złotych. Ja tak samo dziś mówię, że trzy razy „Bóg zapłać" jest więcej warte niż piętnaście złotych.

Julja Pokusowa.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Afryka III.

Jakkolwiek cała olbrzymia połać Afryki, znajdująca się nad rzeką Nigrem, jest posiadłością francuską, nie wyklucza to, że „panuje“ tam wielu królów, którzy w ścisłem tego słowa znaczeniu są raczej tylko naczelnikami jakiegoś plemienia. Wewnątrz swojego państewka królikowie ci sprawują władzę zwierzchniczą, ale w rzeczach ważniejszych, chcąc nie chcąc, muszą podlegać władzom francuskim. Jak komicznie wygląda taki „król“ murzyński i jego otoczenie, widzimy to na naszym pierwszym obrazku. Siedzi on, licząc od lewej strony ku prawej, trzeci z rzędu, ubrany w jakąś pasiastą szmatę na biodrach i dzierży w ręce długą dzidę. Obok niego usadowiła się starszyzna „narodu“, z której jeden posiada nawet prawdziwą strzelbę europejską, otrzymaną może w podarku od jakiegoś podróżnika, lub też, co prawdopodobniejsze, spuściznę po jakimś zamordowanym nieszczęśliwym Europejczyku. Poza nimi stoją dalsi członkowie dworu Jego Królewskiej Mości, króla Oniczy.



Król Oniczy ze swoim dworem.

Jeszcze pocieszniejszy widok przedstawia król Itebu, którego podobiznę podajemy na drugim obrazku. Siedzi on na tronie w swoim pałacu, ubrany w białą szatę królewską, na szyi zaś widnieją jakieś duże błyszczące paciorki, a na głowie kapelusz z napisem angielskim KING, po polsku król,



Król Itebu w pałacu królewskim.

jakby dlatego, aby się kto nie pomylił i nie wziął go za błazna z wędrownego cyrku. Nie wyklucza to jednak, że z twarzy owego „kinga“ bije powaga i stanowczość, słuchają go też poddani i spełniają jego rozkazy skrupulatniej, aniżeli poddani któregokolwiek króla w krajach cywilizowanych.

Że i tam znana jest już broń palna, dowodzą tego karabiny, ustawione pod ścianą pałacu królewskiego.

Nietylko w Europie, ale i na ziemiach gorącej Afryki rozgrywały się niejednokrotnie zacięte walki. Jak wiadomo, najstarszem państwem afrykańskiem jest Egipt, którego istnienie liczą na 6.000 lat przed Narodzeniem Chrystusa. Tam też trwały już przed Narodzeniem Chrystusa krwawe walki z Persami, którzy wreszcie zawojowali Egipt w roku 545 przed Chrystusem. W roku 30 przed Chrystusem Egipt stał się prowincją rzymską, aby następnie z czasem przejść pod wyłączny wpływ Anglji. Znana też jest wyprawa Napoleona do Egiptu, jak również walki Anglików z Burami w południowej Afryce. W Afryce prowadziła też walki i Francja, która w roku 1830 zdobyła Alger, w 1892 podbiła Dahomej, w 1909 Wadaj, a w latach 1924—1926 musiała tłumić w Marokku powstanie Riffenów.

Z pobieżnego opisu, jakiegośmy tu dokonali, zdawałoby się, że Afryka nie posiada wielkich miast, zbudowanych na modłę europejską. A tymczasem tak nie jest, bo mamy tam nawet jedno miasto, przekraczające miljon mieszkańców, a jest nim Kair. Do wielkich miast należy też zaliczyć Aleksandrę (445 tys.), Johannesburg (302 tys.), Alger (207 tys.), Kapstadt (207 tys.) oraz Tunis, Oran, Fez i Marokko, liczące ponad 100 tysięcy mieszkańców. Miast, liczących ponad 50.000 posiada Afryka 10.

O rzekach afrykańskich mówiliśmy już powyżej. Tu nadmienimy jeszcze, że w Afryce znajduje się też kilka olbrzymich jezior. Największe z nich Wiktorja mierzy 66.000 kilometrów kwadratowych, Tanganika 32.000, Njassa 26.500, Czad 20.000 kilometrów kwadratowych, a wreszcie jest 6 jezior mniejszych, obejmujących od 2 do 9 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni.

W pobliżu wybrzeży afrykańskich znajduje się też pewna, choć nieliczna, ilość wysp, których największa, Madagaskar, mierzy 585.300 kilometrów kwadratowych.

Pod względem świata zwierzęcego, to wybrzeża północne Afryki są zbliżone do Europy, gdyż spotykamy tam tesame zwierzęta, co i w południowych krajach europejskich. Dalej, na Saharze, oprócz wielbłąda i strusia, niema innych zwierząt. Na północ od równika, poza Saharą, spotykamy małpy i lamparty. O wiele różnorodniejszy jest świat zwierzęcy Afryki środkowej. Mają tu swe siedlisko słonie, nosorożce, hipopotamy, żyrafy, żebry i mnóstwo gatunków antylop w ogromnych stadach. Są tam również lwy i hjeny.

Najbardziej rozpowszechnionemi istotami w całej Afryce są kury i pszczoły, hodowane niemal przez wszystkie szczepy afrykańskie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W grudniową noc.

Suchy śnieg sypał gęsto, a lodowate powietrze wdzierało się do płuc przechodniów, wracając kłębami białej mgły.

Mimo, że zbliżało się już południe, szaro i ponuro było na świecie, a zza tumanów śniegu, trudno było rozpoznać pojedyncze twarze.

Z niewielkiej pogranicznej mieścinie, czuć było jakiś niezwykły, świąteczny nastrój. Ludziska snuli się gromadkami lub pojedynczo, a każdy niósł w ręku jakiś choćby niewielki pakunek, a w twarzy dziwną cichą radość, zaprawioną pewną dozą strachu i zakłopotani. Przed niewielki, ogromnie brudny i odrapany hotelik, zajechała wykwintna limuzyna. Wysiadł z niej młody wysoki mężczyzna, w bogatem futrze i pochwyciwszy niewielką walizkę, wbiegł szybko do sieni.

— Gdzie tu lokal miejscowego klubu „Bezbożników“ towarzyszu? — zapytał zarządcy, kłaniającego się nisko.

Ten usłyszawszy zapytanie, skłonił się niżej jeszcze, a w biegających niespokojnych oczach, odmalowało się bezgraniczne przerażenie.

— W domu gminnym, na Kołowej, trzecia przecznica na lewo!

— Chcę się umyć i zjeść obiad! Macie jakiś możliwy pokój?

— Znajdzie się, znajdzie! Musi się znaleźć!

Wieść o przybyciu „kogoś z góry“, rozbiegła się lotem błyskawicy, przejmując grozą, zgnębione umysły. W pół godziny później, miasto wyglądało, jak wymarłe.

Tymczasem nieznajomy rozlokował się w prymitywnie urządzonym pokoiku. Jak już pierwej wspomnieliśmy, był to mężczyzna młody, nader przystojny, ale o twarzy zmęczonej, jakby zmiętej. Ubranie staranne, wykwintne nawet, znamionowało wysoką godność w „proletarjackim ustroju“, a ruchy i całe wzięcie, wskazywały staranne wychowanie. Zaledwo przybyły zdążył nalać wody na miednicę, gdy rozległo się dyskretne pukanie.

— Proszę!

W drzwiach stanął szofer, obrzucając wnętrze chytremi oczkami.

— Długo tu zabawim, towariszcz komisar?

— Godzinę. Potem do klubu na Kołową! A co tam?

— Garażu niet... wot! Praklataja dziura!

— A cóż robić?

— Wot i wy coś nie w humorze, towariszcz komisar!

— Chciałem do B. posłali tutaj...

Szofer zmierzył go ironicznem spojrzeniem.

— Tocz no tak! Wy rodzinę macie... Święta...

— Co mi tam święta! Matkę chciałem widzieć, chora!

— Wot i z was burżuj wylazł! Wy tylko zawsze: matka, matka. Co wam matka? Ja matki nie znał... Porzuciła i poszła skatina jedna... a wot u mienje haraszo! I cóż matka! — powtórzył z dziką jakąś złością w głosie.

— Dlaczego klniecie towarzyszu? Dobrze wam, to i poco ją wspominać? Niedobra wam była, to i kochać nie możecie! Ale moja... inna!

— Zaraz inna! Inna była, bo diengi miała! Brakło jej co kiedy? Albo i dziś?

Komisarz nie rzekł nic. Pocóż miał tłumaczyć temu człowiekowi, że znał matki, które w nędzy ciężkiej w biedzie największej, pomiotu swego na pastwę losu nie rzuciły...

— Coście tak umilkli towarzyszu? Nie haraszo wam ze mnoju gawarit?

— Cóż wam powiem?

— Nu tak! Wy pan, ja czarnoroboczy! — zauważył drwiąco.

— Kiedyż wam to mówiłem?

— Nie trza i mówić, wystarczy spojrzeć, ot co! — odparł z goryczą.

— A któż wam broni być takim jak ja? — zapytał komisarz, a w głowie jego zadźwięczała słabo wyczuwalna, nutka ironji.

Teraz szofer nie znalazł odpowiedzi. Obserwował w milczeniu zabiegi toaletowe „komisarza“. Nie rozumiał sam siebie. Nienawidził go, za pielęgnowane starannie ręce, za czyste paznokcie, za wygoloną starannie twarz, za zmienianą często bieliznę, słowem za wszystkie te „burżujskie“, jak nazywał, „prywyczki“. Zazdrościł mu matki i tego ciepłego uczucia, wykształcenia... Czuł, że nigdy nie potrafi mu dorównać, a to przeświadczenie, wzniecało coraz większą, żywiołową wprost nienawiść, ale zarazem trzymało go przy nim kleszczami jakiejś dziwnej, niewytłumaczonej, sadystycznej wiwisekcji, na własnej osobowości.

— — — — — — — — — — — — — —

Zapadał zmrok. Ruch zamarł zupełnie. Po domach kończono przygotowanie do wieczerzy wigilijnej. Tradycyjna „kucia“, oładki, łazanki, bliny i inne przysmaki, rozsiewały nęcące zapachy. Gdzieniegdzie zasłaniano starannie okna i przygotowywano z zapałem maleńką choinkę. Radosny nastrój zapanował wszechwładnie. Zapomniano na chwilę o biedzie, o twardym „reżimie“, o strachu i grozie czającej się w każdym głośniejszym turkocie, w syrenie automobilu... Odważono się nawet na rzecz nieprawdopodobną: w pustym, na krańcach miasta leżącym domu, postanowiono odprawić „Pasterkę“. Ale „Pasterkę“ taką prawdziwą z dawnych czasów... a nie dzisiejszą, z czerwonym“ popem, na czele. Księdza wprawdzie nie było! Ale zastępował go staruszek siwiutki, dawny organista, dziś już niedołężny i słaby, lecz nader pobożny i znający doskonale praktyki religijne. Tymczasem w gmachu gminnym

przygotowywano wielką fetę, p. t. „Religja to opjum dla narodu". W program wchodziła dwuaktówka „Jasełka", będąca parodją Jasełek betleemskich, miano też wygłosić wielce zawiły i wysoce „naukowy" referat o „absurdzie" Niepokalanego Poczęcia...

Feta zapowiadała się świetnie. Przybycie „komisarza" przysłanego umyślnie aż z Leningradu, miało uświetnić ją jeszcze. „Towariszcz komisar" rozpoczął uroczystość przemówieniem, w którem wykazał zebranym olbrzymie korzyści, które dał im nowy ustrój. Mowę oklaskiwano gorąco. Rozpoczęło się przedstawienie, następnie odczyt, po nim odśpiewano wesołe i arcydowcipne kuplety o Trzech Królach, a na zakończenie odegrano jeszcze obrazek, przedstawijący wieczór wigilijny burżuja i muzyka, w którym postarano się o dobitne zaakcentowanie: wyrafinowania i zbydlęcenia jednych, a głupotę i baranią uległość drugich...

„Towarisz komomisar" niewiele patrzył na scenę. Twarz jego nieodgadniona, miała zdawkowy wyraz uprzejmej obojętności i chłodu. Palił tylko bez przerwy. Spoglądał zato z uwagą na gwarną, liczną gromadę widzów. Oprócz dygnitarzy małomiasteczkowych, nie brakło nauczycielstwa i młodzieży płci obojga, zachowującej się szumnie i głośno, oraz oklaskującej hałaśliwie i z niezwykłym tupetem, „udatne kawały".

Nagle uwagę komisarza zwróciła siwa, trzęsąca się starowinka, która cisnęła się naprzód, starając się widocznie, aby być widzianą.

— Ty starucha! a gdzie twoja donia? — zapytał krępy, zażywny „dygnitarz", klepiąc starą poufale po ramieniu.

— Chora pa... towaryszu! Chora!

— Chora? na złogi? — zakpił któryś z szesnastoletnich wyrostków, a udatny ten „dowcip", przyjęto ogólnym aplauzem.

A stara śmiała się z niemi tak serdecznie, aż łzy potoczyły się po jej twarzy, zaślniły w ciemnych bruzdach zmarszczek i znikły w fałdach grubej, prostej odzieży.

Po przedstawieniu rozpoczęły się tańce. Ponieważ zaś „oczyszczonej" nie brakło, humory stawały się... rozwydrzone. Hamulce pękły...! Komisarz, widząc początek orgji, szepnął szoferowi kilka słów i zaczął się żegnać.

— Towariszcz komisar! Darujcie jeszcze godzinkę! — natarł na niego szofer, który zdążył już „przyłasić sobie", czternastoletnią kotkę Nastję.

— Jeśli chcecie, zostańcie. Wrócę pieszo do hotelu! — zgodził się chętnie komisarz.

— Haroszyj z was czełowiek! — pochwalił szofer.

Komisarz pożegnawszy wszystkich uprzejmie, wyszedł. Owionęło go czyste, mroźne powietrze, które wciągał z lubością w płuca. Śnieg przestał już pruszyć, a niebo wyiskrzyło się miljonami gwiazd. Domy stały ciche, zadumane, tuląc zazdrośnie tajemnicę swych wnętrz, przed oczyma śmiałków. Zwały śniegu piętrzące się w każdej węce, na grzymsach, dachach i wyskokach, ścielące się niepokalaną bielą w wąskich uliczkach, nadawały miasteczku dziwnie niezwykły wygląd. Panowała zupełna cisza... Tylko dzikie pokrzykiwania rozbawionych w domu gminnym gości, wprowadzały dziwny dysonans, w ten zgodny duet natury, z radującem się ludzkiem stworzeniem...

Komisarz szedł zamyślony. O czem myślał?

O matce! O dalekiej, chorej, kochanej, do której tęsknił całą duszą.

— Kochana, moja staruszka! Jakże jej tam dziś przykro być musi! — szeptał.

I dziwna rzecz...

Wspominając matkę, widział przed sobą, siwą jak gołąbek, uczestniczkę „fety".

Wzdrygnął się.

W ciszę nocną, wdarł się jakiś gwar. Jękliwy, błagalny drżący głos, przekładał coś, prosił...



Odpowiadały mu brutalne wybuchy śmiechu, pijackie, bezczelne...

Komisarz przyspieszył kroku.

Na końcu bocznej uliczki, stał niski, minjaturowy domek, przy którym zebrało się kilka osób.

Dało się słyszeć jakieś szamotanie...

— Na pomoc! na pomoc! — wołał słaby, zduszony głos.

Komisarz dopadł gromadki kilku susami i roztrącając obecnych, starał się zorjentować w sytuacji.

— Co to? Co się tu wyprawia?

I ujrzał dźwigającą się z ziemi, siwą jak gołąb starowinkę, czepiającą się rozpaczliwie nóg swych napastników, którzy przemocą chcieli wcisnąć się do wnętrza domostwa.

— Ci panowie chcą iść, a u mnie córka chora! Zlitujcie się panie, nie puście! — i drżące starcze dłonie objęły kolana komisarza.

— Idźcie towarzysze do domu, nie zakłócajcie spokoju!

— Ona łże! Ja dziś jej córkę widział! Chowa ją przed nami, suka!

— Ty milcz! To towariszcz komisar z Leningradu zjechał! — mitygował go drugi.

— A cóż on? Lepszy jak ja? Nie tacy szli pod mur! — wrzeszczał pijany i zacietrzewiony mołojec.

Komisarz nie odrzekł ani słowa, tylko ujął krzykacza za kołnierz, potrząsł nim z niebywałą siłą, wreszcie pchnął, aż tenże zarył bohatersko nosem w śnieg. Reszta nie czekając dalszej interwencji, czmychnęła o tyle szybko, o ile pozwalał alkoholowy opór w nogach.

Obrońca zwrócił się wtedy do staruszki, pomógł jej podźwignąć się, wreszcie wprowadził do ciemnej sionki.

— Panie, miejcie litość nad nieszczęśliwemi! Nie gubcie nas! — skomlał drżący głos, a starcze, roztrzęsione usta przylgnęły do jego ręki.

Żachnął się jak oparzony, mrucząc coś niewyraźnie.

Weszli do izby. Przybyły stanął w progu olśniony. W kącie pod obrazami stała choinka, rozjaśniona ogromną ilością świeczek. U stóp choinki klęczało dwoje ludzi: prześliczna młodziutka dzieweczka i smukły, dorodny młodzieniec. A nad głowami ich pochylił się wyniosły starzec, ubrany w koronkową komżę, wiążąc stułą ich ręce, na dolę i niedolę.

I stała się rzecz dziwna.

Komisarz odkrył głowę i czekał spokojnie, aż do dokończenia obrządku. Następnie poszedł do starowiny, ujął chudą, spracowaną jej rękę, podniósł ją z szacunkiem do ust i w milczeniu opuścił izbę.

Nazajutrz wyruszył z powrotem do Leningradu, wioząc w sercu promienny wjatyk: obraz miłości i poświęcenia matki...

W książeczce zaś szofera, przybyła wielce ciekawa notatka:

„Komisarz N. wracając 24 grudnia z klubu Bezbożników w Z. ujął się za wielce podejrzaną staruchą, poturbował dzielnego mołojca, gorącego członka owego klubu, a sam bawił w tym domu przydługą chwilę. Rzecz wydaje się wielce podejrzana".

Marja Waller.

Połączeni.

Na ulicach miasteczka N..., zawsze wieczorem ożywionego, panowała dzisiaj niezwykle uroczysta cisza i pustka. Tylko od czasu do czasu jakiś spóźniony przechodzień szedł prędko, jakby biegł, spiesząc się bardzo. Nadchodził święty wieczór wigilijny... W jasno oświetlonym i ciepłym pokoju siedziała; młoda kobieta przed stołem suto zasłanym podarunkami i obiadem wigilijnym. Czekała na męża, który był urzędnikiem w miejscowej fabryce.

Jakoś nie nadchodził... Na twarzy kobiety rozlał się jakiś smutek, a cała postać wyrażała przygnębienie i ból. Oczy ogromne patrzały gdzieś w dal tak smutno. Marzyła... boleśnie marzyła.

Jakby na ekranie życia przeżywała swoją przeszłość. Oto widzi siebie maleńką dzieweczką wesołą i szczęśliwą, to znów jako już dorosłą pannę... Pierwszą jej miłość, jej radości i cierpienia. Pamięta dobrze ten wieczór, jak ten zuchowaty Romek K. oświadczył jej skrycie, jak ją silnie kocha. Jaka była wtenczas szczęśliwą. Jak ona go kochała tego Romka o cudownych przepastnych oczach. Jaki on był wesoły, taki kochany, drogi... Jak im było dobrze z tem kochaniem. Śnili czarowną bajkę o szczęściu i układali plany na przyszłość. Aż nagle i niespodziewanie powołali Romka do wojska. Prysło szczęście, jak bańka mydlana... Pamięta i nie zapomni nigdy tego wieczoru ostatniego, jak przyszedł się pożegnać. Udawał zucha, lecz jego twarz zdradzała walkę wewnętrzną. Wyciągnął do niej ręce i cicho wyrzekł: „Żegnaj Ola, na mnie już czas". Nie wytrzymała, wybuchła łkaniem, a i jego zmógł ból — zapłakał. Och jakie to smutne! Ciężko mu było rozstać się z nią, jakby przeczuwał, że to ostatnie pożegnanie. Lecz przemógł się, wyrwał się z jej ramion, uściskał jeszcze raz i szepnął: „Ola nie zapominaj o mnie". I poszedł... Przyszły potem straszne dni tęsknoty i nie wie sama, jak przeżyła kilka miesięcy. Romek pisywał listy, przepełnione miłością, ale to była mała ulga dla jej rozkochanego serca. Prawie schła z tęsknoty, koleżanki, widząc ją w takim stanie, starały się ją rozweselić, zabierając na różne wieczorki i zabawy. Przystawała, bo i ona chciała się rozweselić, młodą przecież była.

Na jednej zabawie poznała się z urzędnikiem miejscowej fabryki, Władkiem S. Zakochał się w niej na zabój i nie zważając, że ona, córka robotnika, oświadczył się, pragnąc ją poślubić. Za namową rodziny i koleżanek, że robi świetną partję, przystała. I ją trochu pociągał urok i pozycja narzeczonego. Łudziła się nadzieją, że potrafi zapomnieć tamtego, a pokochać swojego męża. I jak we śnie przeszedł dzień jej ślubu. Pół roku minęło od tej chwili, pół roku okropnej walki z sobą, a jej się zdaje, że nie pół roku, ale wieki całe żyje tym bólem. Przekonała się, że szczęścia i spokoju nie zazna, i że nigdy, nigdy nie zapomni tamtego.

Straszny ból szarpnął sercem kobiety... Zerwała się, podeszła do swego biurka i wyjęła małą fotografję, która przedstawiała Romka w wojskowym mundurze, a którą przysłał jej Romek w pierwszych miesiącach rozłąki. Całą siłą duszy wpiła wzrok w ukochanego i z wybuchem tajonej rozpaczy i miłości zaczęła pieścić ukochanego, całując i przyciskając do zbolałego serca. Dopiero teraz zrozumiała, jaką ogromną wyrządziła sobie i jemu krzywdę. Szalała z rozpaczy. Wybuchła głośnem łkaniem, a gorące łzy bólu i rozpaczy, płynęły obficie, spadając na piersi i podłogę. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie słyszała nawet, jak zapukał i wszedł do pokoju jej mąż. Dopiero, gdy stanął przed nią, oprzytomniała, ale nie miała czasu schować nawet fotografji. On podszedł do niej, zaczął się z nią witać i składać życzenia, lecz przerwał nagle, spostrzegając w jej ręku fotografję i łzy na twarzy.

Zrozumiał wszystko...

Odszedł od niej prędko i zaczął chodzić nerwowym krokiem po pokoju. Szalony ból i zazdrość darły mu serce, twarz mu się zmieniła w jednej chwili. Przystanął przed nią i spytał zmienionym głosem:

— Ty go jeszcze kochasz?

Nie odrzekła ani słowa, tylko głowę lekko skłoniła na piersi, a łzy cierpienia i boleści trysnęły nanowo, zalewając jej całą twarz. Oszalały z zazdrości mężczyzna szybkim ruchem wyrwał jej z rąk fotografję i rzucił w rozpalony piec.

Krzyknęła boleśnie.

— Władziu, nie rób mi tego, i zerwała się, aby ratować ukochanego od zniszczenia i profanacji.

Nie dopuścił do tego. Nagłym ruchem ręki odepnął ją silnie w tył... Zachwiała się, straciła równowagę i runęła na podłogę, uderzając straszliwie o ostry kant stołu. Krew bluznęła na śnieżno-biały obrus i rozlała się szeroką kałużą na podłogę.

W jednej chwili oprzytomniał mężczyzna, skoczył ją ratować, nacierając gorączkowo skronie i ręce... lecz daremnie... Po chwili otworzyła oczy i cichy szept prawie błagalny wypełzł jej na usta...

— Dziękuję ci, Władku... Przebacz mi... Ja idę do niego...

Błogi uśmiech rozlał się na jej twarzy i zamkła oczy na wieczny spoczynek.

Biedna, wymawiając słowa „Ja idę do niego", pewnie przeczuła, że i jej Romka powoła do siebie, dziś, dobry Bóg... w tę świętą, pełną miłości noc... Na dalekich kresach, na najbardziej niebezpiecznym posterunku, stoi dziś Romek. Sam sobie życzył tego, bo myśli i wspomnienia przytłumione twardą służbą graniczną nie dawały mu dzisiaj spokoju. Począt-

kowo po stracie ukochanej rozpaczał bardzo, lecz przygłuszył ten ból wiernem spełnianiem swych obowiązków. Był wzorowym żołnierzem. Chciano mu dać urlop na święta, nie przyjął, wymawiając się, że mu tutaj lepiej. Nie chciał odświeżać niezagojonej jeszcze rany, widokiem ukochanej. Sam się dzisiaj zgłosił pełnić służbę. I oto chodzi na swoim posterunku, uważając pilnie, by tem zagłuszyć rój wspomnień, wciskających się gwałtem do jego serca. Nie dał rady, wspomnienia obsiadły jego umysł tak, że nie mógł się opędzić. Wszak to dziś wigilja... Zaczął marzyć, wspominając radosne i smutne chwile swego życia. Cały zatonął w swoich myślach i szperał w nich, raniąc serce boleśnie. Rozmyślając o tem, nie zdawał sobie sprawy, że przekroczył polską granicę, i wstąpił na terytorjum sowieckie. Głośne „pastój" wyrwało go z zadumy bolesnej. Drgnął i... oprzytomniał w jednej chwili i zdecydowany zaczął szybko uciekać w stronę polskiej granicy...

Padł strzał i głośnym hukiem rozległ się w ciszy nocnej... Romek zachwiał się i runął z rozkrzyżowanemi rękoma na kopiec graniczny... Kula ugodziła go w głowę... bez jęku wydał ostatnie tchnienie... Krew ciekła z rany, tworząc na białym śniegu ciemną plamę.

Dziwne zaiste są wyroki Boże. Nie mogli być połączeni tu na ziemi, połączyło ich, to nowonarodzone Dziecię, tam w niebie.

Właśnie w tej chwili, gdy dusza Romka uleciała do nieba, rozległy się tony dzwonów w niedalekim kościółku kresowym, zwołując wiernych na pasterkę i głosząc radosną wieść że:

„Bóg się rodzi, moc truchleje".

Podhalanin.



Poradnik gospodarczy.

Wągrzyca u świń.

Wągrzyca — jest to choroba świń, polegająca na tem, że w różnych miejscach ciała w mięsie świni zjawiają się małe bąbelki zwane wągrami; są to pęcherzyki okrągłej lub owalnej formy, białego koloru, wielkości od łebka szpilki do ziarnka grochu. W tych bąbelkach znajduje się wewnątrz zarodek robaka zwanego tasiemcem czyli soliterem, który razem ze spożytem mięsem przechodzi potem do żołądka człowieka i tam wyrasta nieraz do kilku metrów długości. Opisane bąbelki czyli wągry (a nie „węgry", jak niektórzy mylnie nazywają) najczęściej zdarzają się u świń karmnych, mających mało ruchu i ciasne duszne chlewki. Zarażają się świnie temi wągrami przez pojadanie zarodków solitera, jego cząsteczek, znajdujących się w miejscach ustępowych w odchodach ludzkich. A zatem widzimy, jak ważnem jest nie puszczać świń do miejsc ustępowych!

Po zjedzeniu tych zarodków przez świnie, przedostają się one do kiszek, przebijają ich ścianki i rozchodzą się i rozmnażają po całem ciele, osiadając znowu w mięśniach w postaci tych bąbelków czyli wągrów.

W jakich miejscach najwięcej znajdują się te wągry? Oto najwięcej osiadają one w mięśniach języka, serca, szyi, krzyża, bioder i w pachwinach; tutaj więc po zarżnięciu sztuki szukać ich należy.

Świnia, mająca wągry, zowie się wtedy wągrowatą. Za życia takiej sztuki chorobę tę czyli wągrzycę poznać można dopiero trochę później, gdy więcej się rozwinęła; mianowicie sztuka taka bez przyczyny zaczyna stopniowo chudnąć, a głos przy kwiczeniu ma ochrypły, co oznacza, że bąbelki te osiadły w gardle. Choroba ta często u nas panuje, a szczególnie u świń drobniejszych gospodarzy; z łatwością można uniknąć tych szkód, jakie ona wyrządza; leczenie tej choroby jest zupełnie bezskuteczne, dlatego też trzeba myśleć o zapobieganiu zjawienia się wągrzycy w swoim chlewku. Pierwszym warunkiem jest budowanie ustępów przy siedzibach ludzkich w ten sposób, ażeby trzoda nie mogła wejść do dołu i niezależnie od tego trzeba zaniechać puszczania świń bez dozoru. Jeżeli świnie chorują na wągrzycę, a przytem wałęsają się jedynie tylko w danem obejściu, to należy zwrócić uwagę na domowników, a okaże się z pewnością, że ktoś z ludzi jest chory na tasiemca — solitera.

Dobrze wygotowana świnina wągrowata nie jest dla zdrowia szkodliwa, gdyż gotowanie zabija wągry, wędzenie zaś ich nie zabija i dlatego wędliny z takiego mięsa są szkodliwe. Według obowiązującego prawa, wągrowata sztuka po stwierdzeniu na rzeźni nie może być sprzedaną i używaną do spożycia, lecz podlega zniszczeniu lub zakopuje się ją do ziemi.

Ospa u zwierząt domowych.

Ospa jest chorobą gorączkową, zaraźliwą, pojawiającą się w postaci krost, które pokrywają bądź całe ciało, bądź jego części.

U owiec ospa jest groźną i złośliwą. Łagodny przebieg choroby bywa następujący: 6-go lub 8-go dnia po zarażeniu się, owce stają się smutne, osłabione, drżą, zwieszają głowy, przestają jeść, temperatura dochodzi do 42 stopni C. Na miejscach z natury mało owłosionych pojawiają się drobne czerwone punkciki, wkrótce zmieniające się na guziczki, które w piątym dniu od pokazania się zmieniają się w pęcherzyki, otoczone czerwoną obwódką. Gorączka wtedy słabnie. Po kilku dniach pęcherzyki te powiększają się, stają się bardziej wypukłemi: zawierają one jasną bezbarwną limfę lub też czerwono-żółty płyn. Większe pęcherzyki zmieniają się w krostkę. Wtedy gorączka znów podnosi się, błony śluzowe oczu, nozdrzy, pyska i krtani są w stanie nieżytowo-zapalnym. Z oczu i nozdrzy wypływa śluz ropiasty, z pyska idzie ślina. Zwierzę cierpi od kaszlu, oddychanie ma utrudnione, równocześnie występuje charakterystyczna biegunka.

O ile pęcherzyki zmieniają się w krosty z krwistemi wybroczynami, wówczas choroba przyjęła formę ostrą (ospa czarna). O ile zaś powstanie zgorzel skóry i daje się zauważyć przykrą woń, to jest to forma „ospy zgniłej".

Chorych owiec nie należy wypuszczać na pastwisko w czasie wilgotnym i chłodnym. Zwierzęta z objawami, wyżej szczegółowo opisanemi, natychmiast odosobnić od zwierząt zdrowych, zawezwać weterynarza, który da bardzo dobrą szczepionkę dla zdrowych sztuk. Ściółkę starą spalić.

U krów ospa pada na wymię. Gorączka przytem bardzo mała. Udój zmniejszony, wymiona obrzękłe, osypane czerwonemi guziczkami, które zmieniają się w pęcherzyki, dochodzące po 8 dniach do wielkości bobu.

U koni ospa opada na pęciny, przyczem posiada przebieg łagodny. Wysypka na zgięciu stawu pęcinowego.

U świń — powstaje z zarażenia od ludzi.

KRONIKA.

Życzenia „Wesołych Świąt" i szczęśliwego Nowego Roku przesyłamy naszym Współpracownikom, Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom.

Redakcja i Administracja „Roli".

Obrady Sejmu. Sejm, który dnia 9 grudnia b. r. podjął na nowo swe obrady, omawia obecnie budżet na rok 1932. Ponieważ Blok Bezpartyjny Współpracy z rządem ma w Sejmie znaczną większość, przeto posłowie opozycyjni oświadczyli, że nie będą wnosili do budżetu żadnych poprawek, ograniczając się jedynie do krytyki poszczególnych działów budżetu.

Walka o rozwody. Rząd polski opracowuje ustawę, dotyczącą prawa małżeńskiego. W ustawie tej mają być podobno dozwolone rozwody w całej Polsce. Na tem tle powstała bardzo silna akcja przeciw tem zamierzeniom rządu. Aby dobrze tę walkę zrozumieć, trzeba wiedzieć, że rozwody w kościele katolickim są bezwarunkowo niedopuszczalne. Choćby więc nawet ustawa państwowa rozwody dopuszczała, to ze względów religijnych byłyby one i tak nieważne. Inna rzecz, że dziś katolik, rozszedłszy się z żoną, nie może zawrzeć z inną kobietą nawet ślubu cywilnego, gdyż na to nie pozwala ustawa. Gdyby rząd wydał wyżej wspomniane prawo małżeńskie, to każdy, rozszedłszy się z żoną, mógłby zawrzeć ślub cywilny, chociaż mimo to pierwszy jego ślub kościelny, według prawa kościelnego, byłby nadal ważny. Byłyby wówczas dwa prawa małżeńskie: kościelne i państwowe, a każdy z obywateli mógłby się do tego stosować, które bardziej odpowiadałoby jego życzeniom. Dotychczas panuje pod tym względem bardzo wielka rozmaitość. I tak śluby cywilne obowiązują dziś bezwzględnie i dla wszystkich na obszarze b. zaboru pruskiego, w Małopolsce zaś dla osób, nienależących do żadnego z wyznań uznanych, oraz wyjątkowo dla tych, którzy należą wprawdzie do wyznania uznanego, jednak z przyczyn wyłącznie wyznaniowych ślubu kościelnego otrzymać nie mogą. Na obszarze b. Kongresówki członkowie kościołów rzym. kat., ewangelickiego, prawosławnego i unickiego podlegają sądownictwu duchownemu danego kościoła, wyznawcy zaś innych wyznań — sądownictwu świeckiemu. W b. zaborze pruskim i austrjackim obowiązuje kompetencja sądów powszechnych, zaś na obszarze województw wschodnich — kompetencja sądów duchownych i to nawet dla niechrześcijan i pogan. Jedynie rozwody staroobrzędowców rozstrzyga sąd świecki. Rozwód istnieje w b. zaborze pruskim. W Małopolsce jest on dopuszczalny dla wyznawców religji niekatolickiej, oraz dla bezwyznaniowych pod warunkiem, że druga osoba nie jest katolikiem. W województwach środkowych jest rozwód dopuszczalny dla katolików, o ile małżeństwo nie zostało fizycznie spełnione, lub jeśli jeden z małżonków wykonał w zakonie ślub czystości. Dla innych wyznań rozwód jest możliwy z szeregu przyczyn. Poza Polską śluby cywilne obowiązują we Francji, Holandji Belgji, Niemczech, Rumunji Szwajcarji, Węgrzech i Portugalji. Dowolny wybór formy ślubu, podobnie, jak to przewiduje polski projekt, istnieje w Anglji, Szwecji, Norwegji, Czechosłowacji i Danji, a od roku 1929 na podstawie Układu Laterańskiego i we Włoszech. Rozwodów nie uznają dla ogółu obywateli Irlandja i Włochy, zaś dla katolików Austrja, Jugosławja i Litwa. Rozwody dla ogółu obywateli uznają: Albanja, Anglja, Belgja, Czechosłowacja, Danja, Estonja, Finlandja, Francja, Grecja, Hiszpanja, Holandja, Luksemburg, Łotwa, Monaco, Niemcy, Norwegja, Portugalja, Rumunja, Szwajcarja, Szwecja, i Węgry. Projekt polski idzie więc pod względem rozwodów po linji urządzeń w tych państwach.

Proces b. więźniów brzeskich. Proces przeciwko 11 posłom, członkom tak zwanego „Centrolewu", toczy się dalej. W ubiegłym tygodniu przemawiali prokuratorzy Rauze i Grabowski, starając się udowodnić winę oskarżonych. Po nich przyszli do głosu obrońcy, których mowy przeciągną się na kilka dni po Nowym Roku, poczem dopiero nastąpi ogłoszenie wyroku. W razie wyroku zasądzającego grozi oskarżonym kilkoletnie więzienie.

Nowe gatunki zapałek. Monopol zapałczany ma wprowadzić w tych dniach nowe gatunki zapałek impregnowanych, a mianowicie czerwone i płaskie. Przy tej sposobności warto zaznaczyć, że od 1 stycznia do 30 listopada wyprodukowano w Polsce 133.609 skrzyń zapałek po 5 000 pudełek w każdej skrzyni. Sprzedano w kraju 103 132 skrzynie, wywieziono za granicę 4 945 skrzyń.

Dziki mąż nieszczęśliwej żony. Z Dąbrowy donoszą: Małżeństwo Aleksander i Marja Szymońscy, zamieszkali w Dąbrowie Górniczej przy ulicy Legjonów, żyli z sobą w ustawicznej niezgodzie. Często też na tle tej niezgody dochodziło między nimi do awantur, mniej lub więcej gwałtownych. Naprężone stosunki osiągnęły onegdaj punkt kulminacyjny. Między małżonkami powstała kłótnia, a następnie bójka, w czasie której Szymoński chwycił naczynie z kwasem solnym i zawartością jego chlusnął żonie w twarz. Gdy ta wskutek bólu zasłoniła twarz rękami, rozwścieczony małżonek chwycił wielki nóż kuchenny, powalił ją na ziemię i usiłował poderżnąć jej gardło. Na krzyk ofiary zbiegli się sąsiedzi, którzy wpadłszy do mieszkania i ujrzawszy oszalałego Szymońskiego z nożem w ręku, usilującego zadać straszny cios żonie, rzucili się na niego i obezwładnili go, poczem wezwali policję, która go aresztowała oraz lekarza, który zajął się kobietą, poparzoną kwasem solnym. Wypadek ten wywołał wśród mieszkańców Dąbrowy wielkie wzburzenie przeciw okrutnemu mężowi.

Dwaj rzeźnicy porąbani siekierą. Ulicą Łyczakowską we Lwowie przechodzili w nocy dwaj rzeźnicy: Jan Barański i Jan Pełech. Nagle zastąpił im drogę niejaki Finiewicz, uzbrojony w siekierę. Pojawieniem się Finiewicza o tej porze obaj wymienieni przechodnie zostali zaskoczeni i zanim zorjentowali się w sytuacji, Finiewicz rzucił się najpierw na Pełecha, któremu zadał siekierą cztery cięcia. Wskutek tego Pełech otrzymał trzy dotkliwe rany na prawej ręce i ciężką ranę na kolanie prawej nogi. Następnie Finiewicz dopadł Barańskiego i zadał mu dwa cięcia w lewą rękę. Momentalnie powstał na ulicy przeraźliwy krzyk. Na miejsce zbiegli się przechodnie i zawezwali policję. Finiewicz po swoim czynie zbiegł i na razie ukrywa się przed policją. Jak stwierdzono, Finiewicz porąbał Barańskiego i Pełecha z zemsty, gdyż oni obaj pobili jego służącą.

Tragedja kobiety. Ze Lwowa donoszą: W pewnym domu na Bogdanówce wydarzyła się ponura tragedja. W domu tym mieszka maszynista kolejowy, Piotr Kitzhofer. Żona jego licząca 36 lat, matka czworga dzie-

ci, już od dłuższego czasu zdradzała silne zdenerwowanie, graniczące z obłąkaniem. Od czasu do czasu Kitzhoferowa dostawała ataków szału, po którym następował płacz histeryczny. Od pewnego czasu nieszczęśliwa kobieta, która pozostawała w opiece lekarskiej, nosiła się z zamiarem samobójczym. Onegdaj po nieprzespanej nocy wstała o 4 nad ranem z łóżka i udała się na strych. Znalazłszy na ostatnim stopniu schodów umocowane saneczki dziecinne, zdjęła z nich sznur, przywiązała go do poręczy schodów i zrobiwszy pętlicę, powiesiła się. Dopiero około 6 rano spostrzeżono jej nieobecność, a za chwilę znaleziono już zimne zwłoki. Dzieci na widok zwłok swej matki popadły w bezgraniczną rozpacz.

Świętokradztwo. W Młyniskach koło Stryja nieznani sprawcy po wybiciu szyb w zakrystji włamali się do kościoła i skradli złotą monstrancję wysadzaną drogiemi kamieniami, dwie puszki srebrne i ze skarbonek około 140 zł.

Pożar tartaku. W tartaku firmy Silwania w Wygodzie, powiat Dolina wybuchł pożar, który strawił walcownię, wyrządzając szkodę około 50.000 zł. Pożar powstał od iskry, która spadła na zgromadzone obok trąby sygnałowej trociny, od których zajął się dach. Tartak był ubezpieczony w jednem z angielskich towarzystw asekuracyjnych.

Miljonowe bankructwo. Z Kołomyji donoszą: Przygnębiające wrażenie wywołała w naszem mieście wiadomość o olbrzymiem bankructwie browaru parowego Brettler i Spółka. Długi tej firmy wynoszą 4 miljony złotych. Na wiadomość o niewypłacalności browaru zgłosiło się do kantoru mnóstwo wierzycieli, urządzając tam wielką awanturę i domagając się zwrotu swoich pieniędzy. Dodać należy, że Brettler był miejscowym potentatem finansowym, a ludność zarówno Kołomyji, jak i okolicznych miasteczek wolała lokować u niego swoje kapitały, niż w bankach. Jak się okazuje, w przedsiębiorstwie Brettlera było ulokowanych 3 miljony złotych drobnych wierzycieli. To też wiadomość o niewypłacalności tej firmy wywołała ogromną panikę.

Zbrodniczy zamach na pociąg. Pod osławionym Rogowem zdarzyła się znowu katastrofa kolejowa. W odległości 60 metrów od stacji parowóz pociągu osobowego wyskoczył z szyn, pociągając za sobą 5 wozów. Jeden z wagonów, a mianowicie sypialny przewrócił się do płytkiego rowu. Na szczęście obeszło się bez ofiar w ludziach; są tylko lekko potłuczeni. Jak stwierdzono, jakiś zbrodniarz porozkręcał szyny, chcąc w ten sposób spowodować katastrofę.

Potworny zakład. Z Łodzi donoszą: W karczmie we wsi Malczew, w pow. łódzkiem, wydarzył się grozą przejmujący wypadek. W karczmie zabawiało się kilku wieśniaków, racząc się obficie alkoholem. W pewnej chwili przed karczmą zatrzymał się samochód, którego szofer wszedł do karczmy. Podszedł do niego podchmielony parobek, 20-letni Antoni Pieczarek z Malczewa i zaproponował szoferowi wódkę. Ten jednak oświadczył, że będzie pił tylko z tym, który jednym haustem potrafi wypić pół litra benzyny i „przekąsić" tylko papierosem. Pieczarek zgodził się na tę propozycję, liczył bowiem na to, że po wygraniu zakładu zostanie przez szofera obficie poczęstowany. Pieczarek rzeczywiście wypił duszkiem pełną flaszkę benzyny, poczem zapalił papierosa. W tej chwili z ust jego buchnął płomień. Przerażeni wieśniacy pospieszyli mu z pomocą, jednak Pieczarek, wijąc się w boleściach, upadł na ziemię i stracił przytomność. Nim zdołano zawezwać pomocy lekarskiej, lekkomyślny wieśniak, doznawszy straszliwych poparzeń wewnętrznych, wyzionął ducha. Policja wszczęła poszukiwania za bestjalsko „dowcipnym" szoferem.

Ofiara nieludzkiej macochy. W łaźni miejskiej w Warszawie zadał sobie scyzorykiem szereg ran w rękę i klatkę piersiową szesnastoletni Bolesław Bielski, uczeń 7 klasy szkoły powszechnej w Lublinie. Jak stwierdzono, Bielski po śmierci ojca musiał zamieszkać z macochą, która uprzykrzała mu życie. Nie mogąc dłużej wytrzymać, Bielski wybrał się do Warszawy i tułał się kilka dni po ulicach w poszukiwaniu zajęcia. Nie mając już środków do życia, postanowił popełnić samobójstwo. Rany, na szczęście okazały się lekkie. Bielskiego odesłano do Lublina.

Z obawy przed służbą wojskową. W Lubartowie, w woj. lubelskiem, mieszkał przy rodzicach Józef Turski, 21 letni młodzieniec. Pewnego dnia Turski otrzymał „zaproszenie" do stawienia się przed wojskową komisję poborową. Od tego dnia młodzieniaszek ów chodził smutny i przygnębiony, gdyż przeraził się twardej służby żołnierskiej. Ze swych zmartwień zwierzył się on swemu „przyjacielowi", Józefowi Mizerskiemu, człowiekowi niezwykle sprytnemu i pomysłowemu. Ten poradził mu, żeby poddał się „operacji" zepsucia oka. Po zaakceptowaniu tego planu przez Turskiego udał się Mizerski do miejscowego felczera, Dawida Lustmana, którego po dłuższej rozmowie namówił do wykonania „ochronnej operacji". I pewnego dnia w mieszkaniu Mizerskiego została dokonana operacja. Lustman przy pomocy Mizerskiego uszkodził na zawsze Turskiemu lewe oko. W ten sposób Turski stał się inwalidą i oczywiście przez komisję poborową został uznany za niezdolnego do służby wojskowej Sprawa „operacji" doszła jednak do władz policyjnych, a przeprowadzone śledztwo ujawniło całą kombinację. Wszyscy trzej kombinatorowie: Turski, Lustman i Mizerski zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej. Obecnie sąd skazał Turskiego na 6 miesięcy więzienia, Mizerskiego na 1 rok, a Lustmanu 1 rok i 6 miesięcy więzienia.

Górnośląski Kuba-Rozpruwacz. W Nowym Bytomiu i okolicy (Górny Śląsk) grasuje nieznany mężczyzna, który spotykanym dziewczętom grozi sztyletem. Zameldowania, składane przez dziewczęta o spotkaniu tajemniczego napastnika, brano początkowo na karb bujnej wyobraźni. Pogłoska ta znalazła jednak swoje całkowite potwierdzenie. Oto jedna z mieszkanek Nowego Bytomia została zaatakowana przez jakiegoś osobnika, który zadał jej sztyletem cios w krzyże, poczem zbiegł. Ofiarą podobnego napadu padła służąca jednego z handlarzy piwem, którą nieznany napastnik zranił również sztyletem. Wiadomość o tych napadach wywołała popłoch w mieście, tak, że ulice Nowego Bytomia świecą pustkami.

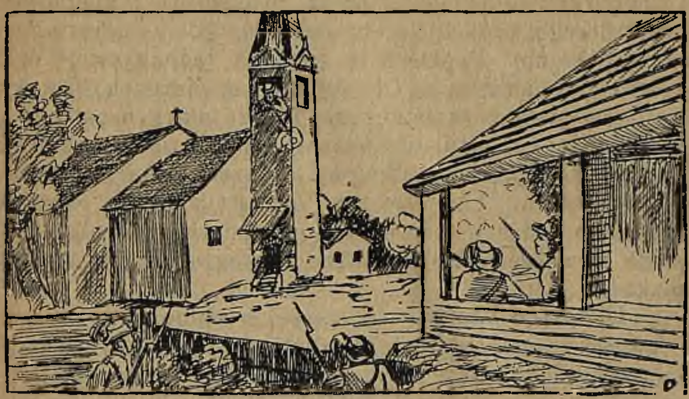
Ukarana zemsta. Z Jarocina donoszą: We wsi Wojciechowie, pow. Jarocin, miał miejsce niezwykle smutny wypadek, który rozegrał się pomiędzy dwoma nauczycielami szkół powszechnych. Nauczyciel Troczyński ze wsi Wojciechowo, miał od pewnego czasu żal do swego podwładnego, p. Halerewicza. nauczyciela w Przemysławkach, wsi, oddalonej o 1 klm. od Wojciechowa. Pomiędzy pedagogami toczył się stale jakiś spór, słowem — nienawidzili się. Z tego powodu Troczyński postanowił zemścić się na koledze. Uzbroił się w rewolwer bębenkowy, podszedł do Halerewicza i wypalił; strzał chybił. Zabójca drugi raz pociągnął za cyngiel, lecz tym razem rewolwer się zaciął, a niedoszła ofiara zdołała zbiec. Zamachowiec w tej chwili przeczuł, co go za to czeka, szybko naprawił rewolwer i strzelił do siebie w zamiarze samobójczym. Lecz znowu zawiodła go jego sprawność strzelecka, albowiem strzał nie położył kresu jego życiu, a tylko ciężko go okaleczył. Przewieziony przez pogotowie do Jarocina, został zoperowany,

przyczem stracił oko. Niedoszłemu samobójcy grozi zupełna utrata wzroku i słuchu.

Na własną prośbę do więzienia. W Chojnicach, na Pomorzu, dwu braci, Jan i Stanisław Madziarzowie, sami zgłosili się do władz policyjnych, oświadczając, iż dokonali kradzieży gęsi u jednego z gospodarzy w Tucholi. Na rozprawie ze łzami w oczach prosili oni sędziego o zamknięcie ich w więzieniu, gdyż są bezrobotni i nie mają się gdzie podzieć na zimę. Sędzia znalazł się w kłopotliwej sytuacji, gdyż bracia nie byli dotychczas karani, lecz zbrodnię kradzieży istotnie popełnili. Według przepisów prawa, sędzia miał prawo wykonanie wyroku zawiesić, jednakże na prośbę skazanych pozwolił im natychmiast rozpocząć odbywanie kary.

Kobieta przed sądem doraźnym. Z Wilna donoszą: Mieszkanka wsi Szerany, gminy kucewickiej, Stanisława Markowska, od dłuższego już czasu miała ostry zatarg z bratem swoim, Stefanem. Markowska żądała podziału gruntów, odziedziczonych po ojcu, a gdy brat na to się nie zgodził przysięgła mu zemstę. Jakoż kiedy cała wieś pogrążona była w głębokim śnie, Markowska oblała naftą dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie brata i podpaliła je. Na szczęście pożar strawił jedynie stodołę z tegorocznemi zbiorami. Pozostałe budynki, dzięki natychmiastowej akcji ratunkowej, zdołano uratować. Kobietę-podpalacza aresztowano w więzieniu oszmiańskiem. Stanie ona wkrótce przed sądem doraźnym. Będzie to pierwsza kobieta, którą czeka surowy wyrok sądu doraźnego.

Szaleniec na wieży kościelnej. W miejscowości Wielka Hołowajna na Węgrzech zdarzył się straszny wypadek. Włościanin tamtejszy August Tomsicz, starający się o rękę córki sąsiada Krauszera, zrozpaczony odmową jej ręki, popadł w szał i zastrzelił oboje rodziców panny, a ją samą ciężko zranił. Dokonawszy tych zbrodni, zbiegł i schronił się na wieżę kościoła, skąd strzelał do przechodniów. Usiłujących dostać się do niego zasypywał kulami, raniąc w ten sposób kilka osób, a wśród nich kościelnego i żandarma.



Po nadejściu posiłków żandarmerji rozpoczęło się oblężenie szaleńca. Po dłuższem oblężeniu wreszcie podstępem udało się szaleńca obezwładnić i umieścić narazie w więzieniu.

Aktorka opiekunką trędowatych. Głośną swojego czasu stała się aktorka teatrów warszawskich, Stanisława Umińska, która zastrzeliła swojego narzeczonego, powieściopisarza Jana Żyznowskiego, tylko dlatego, że był on ciężko a nieuleczalnie chory, a nieszczęśliwa panienka nie mogła się patrzeć na jego cierpienia. Stało się to w Paryżu, a sąd tamtejszy, rozumiejąc ogromną boleść miłującej istoty, uwolnił ją od winy i kary. Umińska po uwolnieniu jej z więzienia wstąpiła do klasztoru. Obecnie nadchodzi z Paryża wiadomość, że Stanisława Umińska wyjechała do francuskich kolonij afrykańskich, gdzie poświęci się pracy nad trędowatymi. Jak wiadomo, w kolonjach francuskich znajdują się całe szczepy tubylców nawiedzone tą straszną chorobą. Misje katolickie wysyłają do tych kolonij specjalne ekspedycje, złożone z ochotników, którzy idą na niechybną śmierć.

Wesoły solenizant. Ciekawy fakt wydarzył się w miejscowości Lens we Francji. Oto policja zainteresowała się osobą niejakiego Aleksego Loiseau, który w dzień swoich imienin upił się w jednej z kawiarń i uprawiał dzikie awantury. Wobec tego przedstawiciele bezpieczeństwa m. Lens zaciągnęli urzniętego solenizanta do więzienia. Niestety, solenizant zabrał ze sobą do kieszeni sporą ilość alkoholu. Zamknięty w celi dolewał sobie do gardła po troszeczku, a wreszcie został opanowany pragnieniem spalenia więzienia. W pewnej chwili strażnicy więzienia ujrzeli kłęby dymu, wydobywającego się z celi pijaka. Straż pożarna, która przybyła na miejsce, stwierdziła, że cela jest spalona, a nieszczęsny solenizant zwęglony zupełnie.

Straszne lekarstwo na gadatliwość kobiecą. W Bonn nad Renem we Francji mieszkał niejaki Ernest Goebel, który miał nadzwyczaj gadatliwą żonę. Pewnego razu, gdy jego przezacna połowica nie ustawała tyrczeć mu poza uszami, obezwładnił ją i włożył jej głowę do wiadra z wodą, aby tym sposobem przerwać potok jej wymowy. Trzymał jednak za długo; babina wyzionęła gadatliwego ducha. Goebel po zbrodni ukrywał się długo, ujęto go jednak obecnie i skazano na śmierć zapomocą ścięcia toporem.

Pies zabójcą swego pana. W pewnej angielskiej miejscowości wydarzył się tajemniczy wypadek śmierci, który poruszył nietylko rodzinę i sąsiedztwo zmarłego, ale i całą policję. Niejaki James Kitchen został postrzelony w samotnej szopie na terenie swego własnego gospodarstwa tak nieszczęśliwie, że kula przeszyła serce. Ponieważ samobójstwo jest wykluczone choćby z tego powodu, że przy zmarłym nie było żadnej broni, pozostały przeto dwie możliwości: albo Kitchen miał jakiegoś ukrytego wroga, który zgładził go w sposób skrytobójczy, albo też śmierć jego jest wynikiem przypadku. Okazało się, że nie jest wykluczone, iż mimowolnym zabójcą Kitchena jest jego piękny, czarny pies. Kitchen, przed udaniem się do szopy, postawił przy ścianie domu mieszkalnego nabitą strzelbę. Strzelbę tę znaleziono leżącą na ziemi i wystrzeloną. Możliwe jest zatem, że pies, biegając koło domu, potrącił strzelbę i przewracając ją, spowodował wystrzał, który stał się powodem śmierci.

Odnalezienie legendarnych skarbów. W Meksyku krążyły oddawna wieści, że w kraju tym są gdzieś ukryte olbrzymie skarby, ale gdzie, nikt nie potrafił tego określić. Jak głosiło podanie, Taraskow, wódz Indjan, zakopał je przed czterema wiekami, gdy do ojczyzny jego wtargnęli Hiszpanie. Wódz ów, wzięty na tortury, zginął, lecz nie wyjawił, gdzie skarby ukrył. Tajemnica ta została jednak wiadoma jego rodzinie, która jednak potrafiła ją zachować do dni ostatnich. Dopiero teraz jedna z potomkiń owego wodza, poślubiwszy Niemca Ernesta Loecke, zdradziła mu ową tajemnicę. Ten skarby owe odszukał, a są one bardzo wielkie, gdyż sam Loecke ocenia je na 25 miljonów dolarów.

Straszna katastrofa okrętowa. Na rzece Jangtse w Chinach wydarzyła się straszna katastrofa okrętowa, której ofiarą padło przeszło 300 osób. Na parowcu „Tathe", na którego pokładzie znajdowało się zgórą 600 podróżnych, przeważnie Chińczyków, nastąpił wybuch, w następstwie czego statek został uszkodzony i stanął w płomieniach. Część podróżnych rzuciła się do wody, wielu zaś zginęło w płomieniach. Mimo natychmiastowej pomocy parowiec zatonął w krótkim czasie.

RZECZY CIEKAWE.

Zorza polarna.

Na północy ukazuje się od czasu do czasu tak zwana zorza polarna. Jest to zjawisko niezbyt rzadkie, a przecież dotąd jeszcze niezupełnie zbadane.



Ukazuje się ona w czasie długich zimowych nocy między 8 a 12 godziną jako białawy brzask na niebie. Białość brzasku przechodzi często w światłość koloru żółtawego lub czerwonawego, która to światłość wznosi się często do znacznej wysokości ponad widnokręgiem.

Pod względem formy, kolorów i siły światła panuje w zorzach wielka rozmaitość. Zwykle widzi



się w kierunku biegunów najprzód fioletową lub bronzową ławę, leżącą na widnokręgu, z której od górnego brzegu wytwarza się łuk światłości białawej a potem mieniącej się w żółtawy kolor tego łuku świetlanego, stojącego nad ową ciemną ławą, wystrzelają następnie promienie lub snopy światłości białawego, żółtawego lub czerwonawego koloru, rozdzielone od siebie ciemnemi, niemal czarnemi smugami. Oprócz tego tryskają z innych bliskich puntów horyzontu promienie, sięgające czasem zenitu, a wszystkie promienie, łącząc się razem, tworzą tak zwaną koronę zorzy, jakby kopułę świetlaną przed i nad nami. Jest to najwyższy stopień rozwoju zorzy, poczem takowa znowu zwolna przygasa, albo się czasem powtarza, a to wszystko wśród ciągłych, często nagłych zmian w kształtach, kierunkach i barwach.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie jedną z takich zórz polarnych. Na pierwszym planie widoczne jest wśród gór lodowych niewielkie jezioro, a w głębi strzelają ku górze jasne promienie zorzy polarnej, łącząc się tam ze sobą. Nad brzegiem jeziorka widocznych jest kilku podróżników, którzy umyślnie udali się w krainy podbiegunowe, aby badać to ciekawe zjawisko.

Jak to już zaznaczyliśmy, zorza polarna przybiera najrozmaitsze fantastyczne kształty. Zdarzają się jednak, choć bardzo rzadko, zorze w kształcie wstęgi, jak to widzimy na naszym drugim obrazku.

Trwanie zorzy bywa, jak zresztą wszystko w tem zjawisku, bardzo rozmaite, zależnie od stopnia rozwoju. Czasem trwa zorza bardzo długo, albo ponawia się kilka razy noc po nocy. Inne zorze przyświecają od zmierzchu do świtu, inne tylko godzinę przed północą, inne wreszcie gasną już po kilku minutach.

Bardzo liczne świadectwa utrzymują, że podczas istnienia zorzy daje się słyszeć pewien szelest, dający się przyrównać do szelestu sukni jedwabnej a czasem do trzeszczenia iskier elektrycznych. Coby to mogło być, nie stwierdzono tembardziej, że inni badacze szelestom owym zaprzeczają.

Siła światła zorzy północnej bywa bardzo rozmaita, a najsilniejsza nie dorównywa sile światła księżyca w czasie pełni, owszem jest znacznie słabsza, toteż widzialność zorzy w tej fazie księżyca zdarza się rzadko i tylko wyjątkowo. Ukazuje ona się przeważnie około nowiu księżyca pomiędzy jego ostatnią a pierwszą kwadrą.

Pierwsze kalendarze.

Pierwsze kalendarze w Polsce były drukowane po łacinie i zaczęły wychodzić w pierwszej połowie XV-go wieku. Wydawała je Akademja krakowska, układał zaś profesor astronomji i astrologji. Szczególniej odznaczył się na tem polu Boheminus, mianowany profesorem w roku 1424.

Kalendarze krakowskie zyskały taką sławę, że zaczęto wzorować się na nich w Wiedniu i Heidelbergu.

Po śmierci Boheminusa układaniem kalendarzy zajmowali się: Jakób z Iłży i Mikołaj z Tuliszowa. Pierwszy kalendarz polski wyszedł w roku 1516. Po założeniu Akademji w Zamościu, kalendarze, wydawane przez tamtejszego profesora astronomji Stanisława Niewieskiego, pełne przepowiedni wszelkiego rodzaju, taką miały wziętość, że wyrugowały kalendarze.

Po Niewieskim, układał kalendarze jego następca, Dunczewski i wprowadził do nich oprócz przepowiedni, dział informacyjny, przepisy i wiadomości gospodarskie, wiersze, rozprawki historyczne i geograficzne.

W XVIII-ym wieku kolegja jezuickie, posiadające własne drukarnie, zaczęły wydawać „kalendarzyki polityczne". Najsłynniejsze jednak były „Kolędy" OO. Pijarów.

Próbne śluby.

Prawnik amerykański W. F. Edgerton, z Instytutu badań orjentalnych przy uniwersytecie w Chicago, ogłasza wynik swych dociekań, na których podstawie udało mu się ustalić, że małżeństwa próbne istniały w starożytnym Egipcie i zwłaszcza za czasów Ptolomeuszów, czyli przeszło 2000 lat temu.

Znany ten egiptolog amerykański, twierdzi dalej, że śluby odbywały się bez interwencji państwa i religji. Umowa małżeńska była uważana za legalną, o ile istniała zgoda między małżonkami, o ile zamieszkiwali oni pod jednym dachem. Umowa małżeńska o charakterze czysto prywatnym mogła być zerwana na życzenie jednej ze stron.

Prócz tego w owych czasach istniały również śluby próbne, zawarte na określony termin.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli" otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Bratnie dusze", „Skończona pieśń", „Do pracy", „Pożegnanie", „Ta druga", „Jak to było po śmierci" (Autor tych dwóch utworów nie podał swego nazwiska), „Dzika zabawa", „Trzej rabusie", „Grób Heleny", „O obowiązkach obywatela i nasze wady", „W Wigilję", „Staropolscy mocarze". — **Alojzy Brzeżański** w K.: W sprawie tej niech się Pan zwróci do Doświadczalni i Szkółki drzewek morwowych p. Domachowskiego w Grodziczynie p. Lubawa. P. Domachowski jako doświadczony fachowiec udzieli Panu najlepszych i najdokładniejszych wskazówek. — **Olek Smaza** w K.: Wierszyk, jako zbyt osobisty nie nadaje się do „Roli". — **Hr. Me-kow** w Ch.: Z nadesłanego artykuliku w miarę miejsca skorzystamy. — **Stanisław Golachowski:** W chwili nadejścia Pańskiego utworu mieliśmy już świąteczny numer zapełniony; nie zamieścimy. — **Stefa B.** w T.: Humoreskę z małemi poprawkami zamieścimy w miarę miejsca. — **Józef Kowalik** w K.: Wierszyk zupełnie dobry, przeznaczamy go więc do druku. — **Zdzisław Pankowicz** i **Wł. Sowiźrał** w J.: Z zagadek skorzystamy. Nie możemy wszystkeigo naraz drukować. — **Tadeusz Wadowski** w K.: Nie zamieścimy. — **J. Gremski** w K.: Pierwszy wiersz przyszedł zapóźno do świątecznego numeru, na drugi może kiedyś znajdzie się miejsce. — **Czesław Strzelczuk** w B.: Słaby i spóźniony. — **Eugenjusz Zdun** w K.: Utwory Pańskie są zadługie dla „Roli", dlatego trudno na nie znaleźć miejsce. — **Wincenty Zoła** w Z.: Gdybyśmy chcieli zamieszczać programy radjowe, musielibyśmy o dwa dni później wydawać numer. Zresztą szkoda na nie miejsca, gdyż program podaje również samo Radjo. — **„Rom-Ort"** w W.: Nie znamy żadnej takiej Czytelniczki, któraby chciała nawiązać z Panem korespondencję. Niech Pan da ogłoszenie do „Roli", a może się która zgłosi. Taka niewinna wymiana myśli może być bardzo przyjemna. — **Czesław Wośkowski** w U.: Wynagrodzenie korespondentów zamiejscowych do dzienników zależy od umowy. Jeden i tensam dziennik jednemu korespondentowi płaci mniej, drugiemu więcej. Bogatsze dzienniki płacą również więcej, biedniejsze mniej. Wobec tego ścisłych danych podać nie możemy. — **Jan Fudali** w M.: Kalendarz 10 b. m. wysłaliśmy. — **Jan Kryczuk** w B.: Już nam brak. — **Leokadja Tarajkówna** z Francji: Chociaż takich listów wiele otrzymujemy, to każdy z przyjemnością czytamy. Ale, jeżeli tak tam na „Rolę" są chciwi, to możeby dał się kto namówić na zaprenumerowanie? Za uznanie dla „Roli" i pozdrowienia serdecznie dziękujemy. — **Ludwik Pacut** w K.: Prenumeratę na rok 1932 otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Antoni Małecki** w L. G.: Wymienione egzemplarze posiadamy w zapasie i prześlemy po nadesłaniu 2 zł. 60 gr. Można przesłać wraz z prenumeratą, tylko na czeku napisać: „Na prenumeratę i zaległe numera!" Pisząc na czeku, na co pieniądze przeznaczone, znaczka pocztowego się nie nalepia, ale gdy się przytem pisze pozdrowienia, to już znaczek trzeba

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(Ułożył Jan Smaza Z.).



Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą nam początkową literę imienia i nazwisko znane czytelnikom „Roli".

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Część twarzy. 3. Jaskinia. 4. Jest na okręcie. 5. Miasto w pół. Afryce. 6. Kaleka. 7. Szkielet. 8. Władca u Rzymian. 9. Zwierzę domowe. 10. Spółgłoska.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

Drugie nam oznacza wąwóz dość głęboki,
Trzecie, pół drugie wspak, nadają wyroki
Na luozi, co mają sumienie zbrukane;
Pół drugie trzecie w biblji mamy opisane.
Pół drugiego miara, ale nie długości;
Pierwsze trzecie na psa, kotek w swojej [złości.
Całość nie instrument, choć służy do grania,
Bierze z sobą pastuch, gdy krówki wygania.

II.

(Ułożył Paweł Tarasek).

Pierwsze litera ważna w alfabecie,
Samo drugie wspak to miasto na świecie,
Drugie i pierwsze to niejaka rzeka,
Całość jest nazwa narodowa człeka.

III.

(Ułożył Piotr Wencz z Ś.).

Pierwsza i trzecia instrument muzyczny,
Choć nie w orkiestrze, lecz dziadom prak- [tyczny,
Pasy pierwsze drugie Polska wyrabiała,
Staropolska ich szlachta ku ozdobie miała.
Całość w księgach znajdziesz co niemiara.

3. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Antoni Sordyl z Z.).



Owad.
Rzeka w Polsce.
Rzeka w Azji.

4. Bilet wizytowy.

(Ułożył L. Smagowicz).

A. BASSARA
JUDIMORT

Z powyższych liter ułożyć tytuł wysokiego dyplomaty.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 stycznia 1932 r.

Znaczenie zagadek z Nru 50 „Roli": 1. Logogryf: Kazimierz Pułaski. 2. Szarady: I. Polesie. II. Brodawka. III. Kowal. 3. Konikówka: „Pracowity człowiek znajdzie czas na wytchnienie, a leniwiec nie ma nigdy wolnej chwili na pracę".

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Bolesław Szczepanek z K., Feliks Popielarczyk z S., Władysław Sowiźrał z J., Zdzisław Pankowicz z J., Wojciech Lorenc z Ł., Jadwiga Lorencówna z Ł., Kazimiera Miętusówna z Cz., Józef Górecki z K., Władysław Szproch z D. G., Jakób Jezioranski z K., Franciszek Łapa z J., Antoni Poloczek z P., Maksymiljan Wykupil z Z., Józef Cieplik z K.

Nagrody wylosowali pp.: Karolina Miętusówna z Cz. i Bolesław Szczepanek z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Sędzia: Czemuś żonę zabił?

— Bo bestja była bardzo zła.

— Toś ją mógł porzucić, ale nie zabijać.

— Panie sędzio — mówi chłop — ja jej nie mógł porzucić, bom jej przysiągł, że jej nie opuszczę aż do śmierci.



Dowiedział się prawdy...

Nauczyciel: Powiedz mi Karolku, dlaczego tamto drzewo „płaczącą wierzbą“ nazywają?

Karol: Ponieważ przy szkole rośnie, a pan nauczyciel każdodziennie świeżą rózgę z niej sobie urżnie.



Szuka spokoju.

— Co to może znaczyć, że Bartek chodzi codzień za miasto i przygląda się ćwiczeniom artylerji?

— Widzisz, ma biedaczysko żonę tak hałaśliwą, że szuka spokoju w... strzałach armatnich.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 18 grudnia b. r.

Pszenica	26·50—26·75	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	26·25—26·50	Ziemniaki stoł.	6·00 6·50
Owies . .	25·00—25·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	21·00—22·00	Mąka żytnia	42·00—42·50
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka pszen.	46·00—47·00
Groch zwyk.	29·00—31·00	Otręby pszen.	14·50—15·00
Siano słodk.	11·00—13·00	Otręby żytnie	15·75—16·25
Łubin żółty	21·00—22·00	Mąka czerw.	19·00—20·00
Koniczpastew.	15·00—17·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 18 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·65 do 0·85 zł.	Jałownik	od 0·50 do 0·75 zł.
Woły . .	od 0·70 do 0·83 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·17 zł.
Krowy .	od 0·45 do 0·68 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·10 do 1·30 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·35 do 1·65

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.